

4780

I

IV



PAPETERIE THIERRY  
**L. CHARIOT** SUCC<sup>R</sup>

FABRIQUE DE REGISTRES,  
Fournitures de Bureaux  
**8, RUE S<sup>T</sup> MARTIN, 8,**  
*en face la Tour S<sup>t</sup> Jacques*

**PARIS**

N. Inv. 4180.

BIBLIOTHECA  
VNIV. IAGEL  
CRACOVENSIS



80.

I

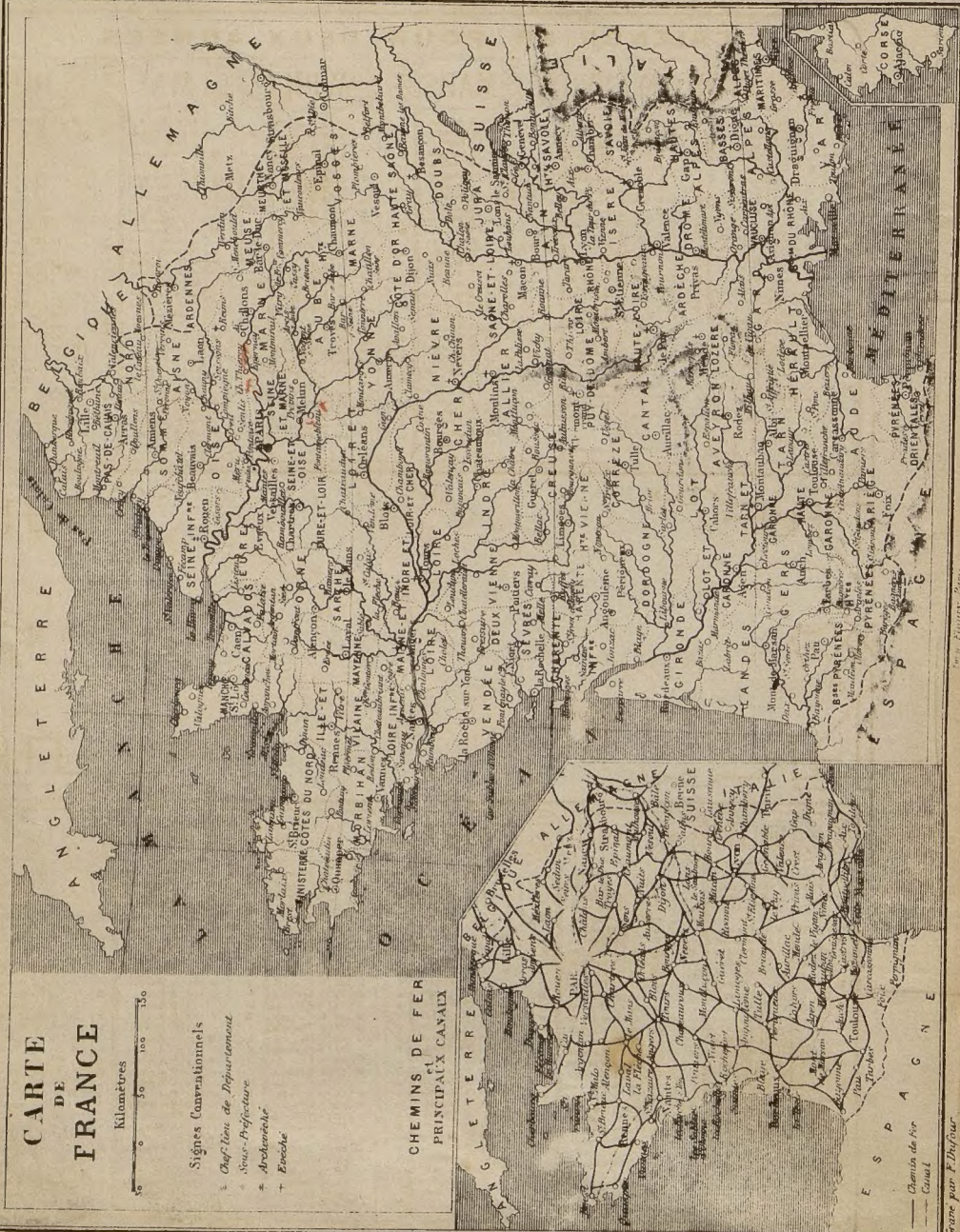


# CARTE DE FRANCE

Kilomètres  
0 50 100 150

Signes Conventionnels  
 \* Chef-lieu de Département  
 \* Sous-Préfecture  
 \* Arrondissement  
 + Evêché

## CHEMINS DE FER PRINCIPAUX CANAUX



— Chemin de fer  
 — Canal  
 Carte par P. Dufour

Carte pour l'Étude de l'Économie



















Notatki autobiograficzne  
Jana Nepomucena Janowskiego

Dalszy ciąg.

oddano mi paszport, który tam był złożony, ale oddano mi go z oznajmieniem, że, w skutek wyżej-  
go rozkazu, mam wyjechać, najpóźniej we 24  
godzin - binnen vier und zwanzig Stunden. Oznaj-  
miający mi to urzędnik zachował dla mnie wszelkie  
formy grzeczności, prosił mnie naперед siedzieć, a potem  
przemawiając do mnie, mówił z pewnością, nieśmiało-  
ścią, spuszczając na dół oczy. Nie było się co opierać,  
oświadczyłem mu jednak, że ten Befehl był nie-  
potrzebny, bo ja już sam o wyjeździe myślałem,  
i może jeszcze tego samego dnia wieczorem wy-  
jadę. Jakiż, wyszedłszy z policji, poszedłem  
wprost zamówić sobie miejsce w dupleksanie,  
który wieczorem odchodził do Stuttgartu. Tym  
sposobem miałem już tylko kilka godzin do za-  
bawienia w gościnnej dla mnie Tybindze. Gne-





linowie, z którymi zjadłem jeszcze obiad, chcieli  
mnie do następnego dnia zatrzymać, mówiąc, że się za-  
nadto z wyjazdem spieszysiem, skoro mnie przelicy  
tego samego dnia jeszcze nie wydalata. Toż samo  
mówił mi Kübel z żoną, u którego na chwilkę by-  
łem z pożegnaniem; ale od niego postanowienia  
nie odstąpiłem, w części i dlatego, że w przeciwnym  
razie przypadek mi byłby zadatek, jaki na wyjazd  
tego samego wieczora dalem w Bzurze dyliżansu.  
Uprosiła i zabrała pani Gmelin zmusiła mnie  
przyjąć dwie cytry w dobrym gatunku ku-  
szule, dwie <sup>trzy</sup> cytry, cukierpek i jeszcze parę  
sztuk innej bielizny, a oraz piękną, srebrną  
cygaretkę, która się niedługo cieszyłem, jak  
o tem wkrótce może wspomnę. Uhland, który  
przed moim wyjazdem, nadjechał był do Gie-  
linów, dał mi na pamiątkę świeżo wydany to-  
mik swoich poezyj: 'Vaterländische Gedichte'.  
Prócz tego, tak Uhland jak Gmelin dali mi li-  
sty polecające do swoich przyjaciół czy dobrych  
znajomych: w Stuttgartach, w Carlsruhe, <sup>w Fryburgu</sup> i w Szwaj-

Stu



carzy z powodu, że wówczas ze Szwajcaryi a miano-  
wicie z Genewy spodziewałem się najpewniej dostać  
wprowadzenie do Paryża. Jakkolwiek mój pobyt w Tybindze  
był krótki i krótka z wymienionemi osobami  
moja znajomość, rozstawałem się z niemi jakby  
ze starymi przyjaciółmi. Życząc mi zdrowia i  
szczęśliwej podróży, Ukland i Gmelin prosili  
mnie, abym do nich pisząc i donosząc, jak  
mi się będzie powodziło. Uwiadomieni o moim  
wyjeździe wydelegowali do mnie z po-  
żegnaniem kilku z promiędzy siebie, i ci mnie  
do dyliżansu odprowadzili.

Stuttgart Do Stuttgartu przybyłem nazajutrz, tj. 20 Grudnia,  
i stanąłem, jak mi<sup>u</sup> Tybindze radzono, w hotelu zum Wald-  
horn, który uważano za najpiękniejszy w całym mieście, i  
w którym niedawno przesiadali generałowie  
Ramorin, Szajde i Langerman. Zastąpił tam już  
doktora Jana Brawackiego, o którym również wyżej;  
był on bardzo rad ze spotkania się ze mną. Mając z Ty-  
bingi list polecający do Dr. Mebold, redaktora świe-  
żo tam założonej w duchu liberalnym a w opozycji



przebieg starój Augsburge-gazety "Deutsche  
allgemeine Zeitung", zapoznałem się z nim napród.  
Ten zapoznał mnie niebawem z Rudolfem Loh-  
bauer, redaktorem drugiego liberalnego dziennika  
"Der Hochwächter". Ci dwaj, wraz z kilkoma ze  
swoich przyjaciół, a mianowicie redaktorem Schweinle,  
świeżo przybyłym z gen. Ramorina, przy którego sta-  
bie był lekarzem, wyprawili obiad, 31 Grudnia, w tym  
samym hotelu "zum Waldhorn", mnie, Braunschteinu  
i bawiącemu tam już Francuzowi Demarce czy  
Dumarre, majorowi ze sztabu Ramoriny. Na  
tym obiedzie było około 30 osób. Wino reńskie wzie-  
lonych kieliszkach, które musiało być z praw-  
dziwe, bo miało odmienny smak od tego, które-  
jakie pod tą nazwą, sprzedają w Warszawie, robi-  
ło swój skutek. Rozmowy były ożywione, zabie-  
rano głosy, <sup>wznoszono toasty</sup> na cześć Polaków i Polski, a także i  
na zdrowie "obecnych gości", ale wyrażano się  
z precją, że tak powiem, dyplomatyczną oględnością:  
pałac królewski był niedaleko, i policya okupata.  
Po obiedzie, wieczorem, Mebold, Lohbauer, Schwein-



te, Dumare czy Demare, Braunschajja - a może  
i ktoś więcej - poszliśmy do pierwsz, dnjej restaura-  
cyi, prostożonej w wielkim ogrodzie, cokolwiek za  
miastem. Tam czekało nas, przebranych pro cywil-  
nemu, kilka oficerów z chaty w Ludwigsburgu, nie-  
dalekiej od Stuttgardu rezydencyi królewskiej. Zby-  
teczną prawie rzeczą nadmienić, że wszyscy  
byli młodzi, liberalnie usposobieni i niższych  
stopni; oświadczało się oni z wielką sympatją dla  
sprawy polskiej, i nie tańcowało się z tem, że gdyby w Niem-  
czech wybuchła rewolucya dla zrządzenia jakżma  
tak zwanego *ku. Przymierza*, oni gotowi do niej  
należć. Przyjemnie też przeszedł na cały wieczór  
z nimi. Wybitna rolę tego wieczora grał na pro w  
pomiedzy nami, choć mówić najwięcej zwracał  
na siebie <sup>uwaga</sup> młodych oficerów würtemb.kich, Dumare  
czy Dumare. Był to mężczyzna okazałej postawy:  
dobrego wzrostu i dobrej tury i z ciwiesistym wa-  
sem. Porządna ciwara, na której błyszczał k-  
ty krzyż "Virtuti militari", hejłama do twarzy i na-  
dawata mu kapełnie minę szlachcica polskiego i do



brym humorze, przy dobrej fantazyi. Ja sam  
lubitem na niego patrzeć. Stuchał on zdanie  
politycznych bez żadnej uwagi ze swej strony;  
swego własnego zdania nie objawiał, ba go  
zapewne nie miał. Około północy opuściliśmy  
to ustronne miejsce: oficerowie powrócili do  
Ludwigsburgu, a my do miasta. Kiedyśmy prze-  
chodzili około pałacu Królewskiego, Lohbauer,  
który się ze mną, mógł powiedzieć, od razu  
zajrzyjając mi, rzekł do mnie, wskazując ięką:  
"Tu nie mieszka ja, przyjaciele Polski?" Wie-  
rząc temu odpowiedziałem mu, nie chcąc w tej  
chwili i w tym miejscu z takiego tematu wcho-  
dzić z nim w rozmowę. Przecież z powrotem do  
miasta nie skończył się dla nas Sylwester-Abend. Wia-  
domo, że Niemcy lubią, pod tą nazwą, 231 Grudnia  
na 1 Stycznia, całą noc bawić się i ucztować.<sup>(x)</sup> We  
wszystkich też domach, w środku miasta, widać je-  
szcze było światło przez okna, a wszystkie miejsca  
publiczne były otwarte. Przechodząc przed jedną  
z większych winiarni, spotkani zostaliśmy przez









członkami Konfederacji, którzy nie nosili, tylko noszą  
prośbą do mnie: Daj mi ją, a ja w zamian każę ci u-  
brać pierścien, zewnątrz żelazny a wewnątrz srebrny,  
z twoim monogramem (J.N.J.) w środku i naokoło  
z napisem: Oula P. To ci będzie przypominało two-  
ją ulubioną (Geliebte), Polskę i mnie." "A jak polsku:  
Vorwärts?" spytał dalej. "Vorwärts pro polsku Na-  
przód," odpowiedziałem. "Właśnie Naprzód, to moje  
a jak widzę, i twoje gósto, będzie pod twoim mo-  
nogramem na pierścieniu, który ci będzie mógł  
służyć za pieczęć." Żelazo, podług niego, miało  
znaczyć siłę i wytrwałość, a srebro odwrotnie ser-  
ca i czystość uczuć. Jakoż kazał mi urobić taki pier-  
ścien, ale że ja nie mogłem w Stuttgardzie długo  
bawić, przyjechałem dopiero do Strasburga. Raz  
tylko czy dwa razy pisałem później do tego pocze-  
wego i tyle mi życzliwego Szwaba. (Używam tu  
tego wyrazu "Szwab" nie w pogardliwym, jakiego ma-  
u nas, znaczeniu, ale że każdy Wirttemberszyk sam  
się tak nazywa i dzisiejsze Królestwo Wirttemberskie  
zwało się, niegdyś Szwabią. Dopiero po ogłoszeniu



wspomniał czas, doświadczałem się, że w r. 1832,  
po skróceniu a raczej umieszczeniu wolności dru-  
ka w Niemczech, a może jeszcze i z inną niewia-  
domą mi przyczyną, musiał i on emigrować,  
i że potem był w Zurychu, profesorem filo-  
logii w tamtejszym uniwersytecie. Zgłosiłem  
się, też był zwrac do niego, ale nadaremnie: albo  
go mój list nie doszedł, albo go też tam już nie  
było. Został mi zawsze do pierścienia jako miła  
pro nim pamiątka.

Wspomniałem wyżej, mówiąc o moim przebycie  
w Tybindze, że niedługo ciędziłem się piękna, sre-  
brna, cygarniczka, która mi pami Gmelin była ta-  
skawa podarować. Otóż prawiem tu, jak się to stało,  
to przedchodzień mego <sup>wyjazdu</sup> do Stutgardu, przybył tam pro-  
kownik Berkowicz, izraelita, syn sławnego Berka z pod  
Kocho, który w powstaniu miał osobny oddział z samych  
izraelitów złożony, i stał także w hotelu zum Wald-  
horn. Gdyż się w sali jadalni przyskoniem, z nim spot-  
kał i zawiązał rozmowę, ujrzał więc moją srebrną cygar-  
niczkę, i tak mu się odrazu spodobała, że mi się jej na-

part. Kto inny na mojem miejscu nie byłby zapewne tego  
 podarunku zrobił. Ale ja nie podzielający poruszczenia  
 u nas uprzedzeń przeciw starożytnym, awszem gotów  
 zawsze, w interesie narodowym, ich sprawy bronić,  
 nie miałem śmiałości odmówić mu, i mówiąc tylko:  
 "Chcechaj Panu służyć, oddałem natychmiast, tak prosi-  
 daną cygarniczkę, chociaż go dopiero pierwszy raz  
 widziałem i znałem tylko z nazwiska. Nie wspominał  
 bym wcale o tem, gdyby Berkowicz, spotkawszy się  
 znnowa ze mną, wnieśćby cudy prosić, w Paryżu,  
 w kawiarni Rossignol, blisko Palais Royal, gdzie  
 się Polacy zbierali, nie zapomniał by ode mnie dru-  
 giego, takiego samego podarunku. Nie miał on już  
 wówczas wytyczonych na mnie w Stutgardzie cygar-  
 niczki, i mówił, żalac się, że mu ją w hotelu skradziono.  
 Zubarscyjszy zaś, ze mną znnowa podobną, także  
 srebrną, przyznawał mi się, znnowa i o to, i wię-  
 kszą jeszcze niż o pierwszą śmiałość. Dalem mu  
 i to, z nadmienieniem iusxalkę, iż już takiej trzeci  
 u mnie nie zobaczy. Choć uważam teraz — dodatem — że  
 dla emigranta dobra i za parę rubli drewniana, a



nie wiem, czy i no cygara będą, miał długie pięćdziesiąt.  
Była to z mój strony zbyt duża powolność a raczej  
ślabość, i ja ja, sobie po chwili wyrzuceniem - bo Ber-  
kowicz, przed tego, że wziął czynny udział w po-  
stawieniu, nie odznaczył się żadnym wybitniejszym  
czynem jako dowódca oddziału czy oddziałika,  
i sama tylko swoją, dobrą, chęć, mógł we mnie  
dla siebie wybudować jakieś poważanie. Wyrzu-  
cając sobie, po chwili rozmyślu, moją zbyt, po-  
wolność czy ślabość, nie umiałem rozstrzygnąć,  
czy owo napieranie się ode mnie dwóch srebrnych  
cygarówek ze strony Berkowicza było dowodem  
prostym jego niedelikatności, czy też dowodem wy-  
ciężu do sreberka, który u nas, w Polsce, wszystkim  
izraelitom, jako wrodzony, powszechnie kazu-  
sają. Jest to dla mnie moralno-psychologiczne  
pytanie.

W tym miejscu miałem już zakazać wspomnienia  
z mego pobytu w Szutgardzie, spotrzegam się przecież,  
że byłbym pamiętał jednak, warto zanotowania, więc je  
notuję. W tym samym hotelu nam Waldhörn, ja,

dnocześnie ze mną, stanął takie, ale tylko na jedną dobę  
przybywający z Drexna Antoni Górecki, poeta. Nie  
chciał on się zatrzymywać i z nikim znajomości za-  
bierać, bo jechał pod przybranem nazwiskiem, jako  
Francuz. Niezmiernie mi rad byłam, znając go z jego  
Bajek, z jego Krakowiaków, z jego westchnień do  
Emmily w Karpatach, i bardzo go ceniąc jako patri-  
otę za jego "Śmierć zdrajcy Gęryny", która, umia-  
tem na pamięć i nieraz sobie lub intrygą kole-  
gom deklamowałem, będąc jeszcze w uniwersytecie.  
Przez 30 blisko lat życia emigracyjnego nie miałem  
z Góreckim żadnych stosunków; dopiero proz. 1860,  
kiedy już leżał chory w Maison municipale de santé,  
w Paryżu, gdzie też wkrótce i umarł, poznaliśmy  
się, bliżej i byłem z nim aż do śmierci w pewnej  
zażyłości, często go odwiedzając. Nie należał on wy-  
łącznie do żadnego stronnictwa w Emigracji, tyl-  
ko za pojawieniem się w Paryżu, 1841 r. Andrzeja  
Towiańskiego, przyłądził był chwilowo do jego sekcji.  
Mówię chwilowo, bo, gdy w początkach tej sekcji, Adam  
Mickiewicz, alter ego mniemane go patrona, przedło



zost. ekscerzom, z pewnemi poprawkami, jakieś pi-  
smo, które im już było poprzednio ogłoszone ja-  
koby podrytmowane przez samego Boga, nasz Gore-  
cki oburzył się na to, i oświadczył, że Bóg  
nie poprawia tego, co raz powie dziać, zerwał z ba-  
łanami, a raczej, wobec patrzył na ma polskiego, wy-  
stępna, sekta. Złot potem w kółku dawnych zna-  
omych i przyjaciel, z którymi go stare zasady  
katolickie łączyły, nie przestając przystępem ko-  
lować Maxom, i wydając, na świat, od czasu do czasu,  
jakieś tomiki swoich utworów. Nie był on jednak,  
przy końcu życia, prawowiernym katolikiem, w ści-  
śleń tego słowa znaczeniu, i ultramontanizm mógł  
<sup>go</sup> być heretykiem, bo heretykiem u nich jest każdy,  
kto nie wierzy, choćby tylko w jeden jakiegolwiek  
przepis "Kościół Bożego." Gorecki zaś nie, we  
wszystkie wierzył; był mianowicie przeciwni-  
kiem świeckiej, wśladzy papieża, i nie uznawał  
tak zwanego sakramentu pokuty, tj. spowiedzi.  
Pomiędzy, między papieżami znajduje się niedru-  
kowany (a może, zaryzyk, że autentyczny) list jego

do ~~Dr~~ Seweryna Gatazowskiego, w którym go prosi o poży-  
czenie mu kija na księdza... gdyby go przyszedł spowiadać.  
Gdy zaś powstał zakon Zmartwychwstańców, złożony z ro-  
czątku z ludzi młodych, znanych niedawno przedtem z życia  
bardzo światowego, jeden z nich b. poseł Hajsynski, Ale-  
xander Jęłowicki, zaczął się kręcić około Goreckiego, aby  
go na wiarę ultramontaniską nawrócić. W skutku tego  
wzwiązała się wkrótce pomiędzy nimi ostra pole-  
mika, która Gorecki po większej części ogłosił w je-  
dnym z siedmiu tomików swoich ostatnich poetyckich  
utworów. Jęłowicki za fundament wiary katolickiej  
kładał, lubo przez Kościół, wcale nieprający się, i tylko  
przez Sobór Trydencki, ułożone nowe Credo. Gorecki  
przeciwstawił mu stare Credo, stare Wierze, w Boga,  
a nieobeznany należycie z historią Kościoła, mocno  
przy swoim obstawał. Będąc już z nim w zażyłości,  
musiałem go objaśnić i historią <sup>mu</sup> wykazać, że i on był  
w błędzie, że ów tak zwany Ksiąg apostołski, był dziełem  
nie apostołów Jezusa, ale dziełem ojców Soboru Nicej-  
skiego, w r. 325, na rozkaz cesarza Konstantyna, zwanego  
Wielkim, który tym sposobem z różnych sekt chrze-



ścisłości i poglądu ustawił w swym państwie  
ustanowił jeden Kościół powszedni — <sup>Εκκλησία καθολική</sup> ecclesia catho-  
lica — tj. w celu politycznym zaprowadził jednolitą  
wiarę religijną, religię Stanu. Tak ustanowiony  
Kościół w granicach cesarstwa, powiedziałem dalej,  
ogłosił się następnie powszechnym Kościołem na  
cały świat, dzięki ciemności ludów, i zataki,  
niestety, dotąd uchodzić nie przestał. Dziwił się  
swojej niewiedomości Gorecki, i dziękował mi za obja-  
śnienia. Zdziwienie jego było jeszcze większe, gdy  
dodał, że cesarz Konstantyn, którego Kościół ka-  
tolicki policzył w poczet świętych, i nazywał Wiel-  
kim, był wprawdzie okrutnym prześladowcą różnych  
sekt chrześcijańskich, że się zmarzył męzobójstwem  
we własnej swojej rodzinie, i nie ośmielił wyznaw-  
cą zaprowadzić przez siebie wiary, ale  
aryanizmem, tj. nie wierzącym w Trójcę ani w bō-  
stwo Jezusa. Gdy mi to wszystko przekazał, rzekł  
w końcu, jakby na swoje procięgie, znany patrijota:  
"jedynem trudno wszystko wiedzieć, i widać, że każdemu  
trzeba się do śmierci uczyć." Imógł tych zdań na

swoje procięch, użyć, bo jeżeli one są stare i już po-  
zpolite, są niemniej prawdziwe i warte zawsze  
powtórzenia, zwłaszcza dla nauki czy przestrogi młó  
kzieży skłonnej do zarozumiałości.

Ze Stuttgartu wyjechałem dyliżansem wprost  
do Karlsruhe wraz z dr. Brawackim, którego wzianiem  
na swój koszt, bo mówił, że nie miał już pieniędzy, we  
dwóch trudno mi było udawać<sup>się</sup> do Heidelbergu  
dla zwiedzenia tamtejszego uniwersytetu i pozna-  
nia lub przynajmniej usłyszenia z katedry sławnego  
w nim wówczas profesora prawa Zachariae. Do  
Heidelbergu trzeba by było kilka czy kilkanaście mil  
zbieżyć, i chęć zwiedzania uniwersytetów nie  
była już we mnie wielka. Zresztą, spodziewałem  
się, po drodze do Szwajcaryi, do kąd miałem pasz-  
port wzięowany zwiedzić jeszcze jeden uniwer-  
sytet niemiecki w Fryburgu (w Bryzgauii).  
Nie odrzeczy będzie tu wspomnieć mimochodem, że w Fry-  
burgu ośiadł później jak ja go nazywałem — nominat filozof  
Bronisław Trentowski, i był privat-docentem w tamtę-  
szym uniwersytecie. Był on głośnym swego czasu



z wielu dzieł mniej więcej filozoficznych, w niemie-  
ckim i polskim języku. Ostatnie pod tytułem: "In-  
tegrum videtur ludum", miało być, wwieńczeniem wszyst-  
kich; podług mnie przypromina ono tylko Włocha  
Pic de la Mirandole, z XV wieku, autora De omni re  
scibili et omnibus <sup>aliis</sup> <sub>hanc</sub>. Demokrata Tolski, w r. 1848,  
opisał w trzech artykułach charakterystykę Tretow-  
skiego; szkoda tylko że to studyum nieśkonczone.

*Harmonie*      Za przybyciem do Karlsruhe, zostawiliśmy Bra-  
wackiego w hotelu, poszedłem zaraz do Waltera,  
profesora w tamtejszym gimnazjum, do którego  
miałem list polecający od Gmelina z Tübingen.  
Profesor Walter przyjął, mnie grzecznie i ra-  
nowiał ze mną, dość długo; ubolewając nad niezaga-  
dlwym losem Tolskiego i tylu Polaków, ~~przeważających~~  
~~przeważających~~ zmuszonych szukać schronienia  
w obcych krajach. Mówił jednak chłodno, nie tak  
jak jego przyjaciel Gmelin, i nie pojmował nale-  
życie przyrzeczeń naszego powstania; bo mi powtarzał,  
co mi już poprzednio niektórzy <sup>rodolubni mu</sup> ~~rodolubni~~ galicyj-  
czanie mówili: Bei uns soll alles auf dem gesetzlichen Wege geschehen.

Nie chciałem się z nim wdawać w dłuższą rozprawę,  
da jakiejś mogły być powodem ostatnie jego słowa,  
w których, widziałem, niejaka, przyzwótkę, nasze-  
mu powstaniu, a powtóre, nie chciałem czasu tracić,  
nie mając zamiaru zatrzymywać się długo w stolicy  
M. Królestwa Badońskiego. Wytknąłem <sup>więc</sup> Król-  
ko i przyczyny i zamiar powstania. My Polacy  
— mówili — nie mogliśmy drogi, legalną, prostą  
pować; mieliśmy, wprowadzić konstytucję w tę  
część dawniej Polski, która, Królestwem Polskiem  
nazwano, ale ta konstytucja była ciągle gwałco-  
na, i zastępowana ja, samowola brata carskiego  
M. Króla Konstantego; na tę więc drogę nie wskó-  
wać nie mogliśmy. Powstało nie samo-dodatkem — tak zwa-  
ne Królestwo Polskie, ale w znacznej części Litwa,  
Wolyn, Podole i Ukraina, tj. nierozdzielne części  
dawniej Polski, które carowie pod swoje panowanie  
zagarnęli przemocą, i odrywkami prowincjami  
Kamień nazywają. Na okazanie mi, co było zama-  
nem powstania przytoczyłem mi, w listnym tłumaczeniu,  
zwrócić do Moskale wieńce gen. Łud, Kropińskiego:



Polacy nie chcą waszej dziedziny,  
Ni waszej ziemi, ni waszej wody;  
Lecz swaich granic Dniepru i Dźwiny  
Waszej polskiej swobody!

Słuchał mnie i wysłuchał prawie w milczeniu flag-  
matyczny pedagog. Gdy zaś nie chciałem przeciągać  
rozmowy, i zabić rałem się do wyjścia, prosił, abym go na-  
zajutrz jeszcze odwiedził. Gdy mnie tego z pewnością przy-  
rzec nie mogłem, tłumaczył się, że on do mnie, z powodu  
swych ciągłych zajęć, przysjść nie może, chyba póź-  
niej w wieczorem. Na wszelki przypadek pożegnał  
mnie dość uprzejmie, nie szczędząc mi życzeń na  
daleką podróż i szczęśliwy a rychły powrót do ojczy-  
zny. Od niego to dowiedziałem się, że w Karlsruhe za-  
wieszony już był Komitet na rzecz emigrantów  
polskich, udających się do Francyi, i że tego Komitetu  
prezensem jest baron von... dyrektor generalny poczt  
w królestwie Bawarskiem. (Nazwisko tego sympat-  
ycznego Niemca wyzbro mi z pamięci, ale w moich  
przypisach znajduje się jeden czy dwa jego listy, pisane  
do mnie potem do Paryża.) Takóż, gdyś wrócił

do hotelu, powiedziano mi, że baron von ... przy-  
szłał, z zapytaniem, czy w nim nie ma przejeżdża-  
jących Polaków. Odpowiedziano, że jest dwóch, świe-  
żo przybytych: Janusch Wójna, warszawer Bür-  
ger i Dr. Johann Brawacki, Kriegsarzt, i zawiadomo-  
no nas o tem, Brawacki, lubiący zawsze być w ru-  
chu i nie spodziewając się, abyśmy mieli mieć wi-  
zytę, wyszedł na miasto, i zostawił mnie samego.  
Nie upłynęło pół godziny, po zapukaniu we drzwi  
i mojej odpowiedzi: "Herein!", wszedł poważnym  
krokiem Herr General Post Director, oznajmując mi,  
kto jest. Był to mężczyzna miłej postawy, średniego  
wzrostu i wieku, cieszący się oraz wybornem zdrowiem,  
jak to było widać z rumianej jego twarzy bez zarostu. Za-  
stawszy on mnie blisko drzwi stojącego, wyciągnął  
prawą rękę do mnie, ja mu podałem moją, i uszczę-  
śliwiliśmy się, jakby dawno znajomi. Przemówił do  
mnie najprzód po francusku, ale, gdy na jego pierw-  
wsze słowa po niemiecku odpowiedziałem — oznaj-  
mując mu nazwiskiem, kto jestem — rozmawialiśmy  
z sobą, rzecz po rzecz, po niemiecku. Rozmowa



nasza toczyła się gładko, bo baron... był sym-  
patyczniejszy niż prof. Walter, i prosiło, że  
miał wysoke stanowisko w rządzie wielko-  
książęcym, który, jak inne rządy niemieckie, u-  
legł wpływowi cara, okazywał nie samo tyl-  
ko politowanie nad nie szczęśliwym losem  
wychodźców polskich (Flüchtlinge), ale pocho-  
wał bezwarunkowo powstanie Listopadowe, i  
smiało przede mną wyrażał nadzieję, że  
choć ono upadło, sprawa polska dlatego nie  
upadła. "Nein, mówił, Polen ist noch nicht verloren."

Łatwiej z nim rozmowy, która się ciągnęła godzinę,  
a może i dłużej, poznałem, że to był nie tylko swia-  
tły i szlachetnie myślący człowiek, ale także, iż  
znał nie źle, jak na cudzoziemca, wszystkie kłopoty,  
jakie Polska rozwierciowana przechodziła od  
pierwszego rozbioru aż do powstania Listopadowego.  
Nareszcie, gdy nie przychodził Brzawski, a któ-  
rym także chciał się widzieć, zaprosił mnie,  
czy czego nie potrzebujemy i jak dalego myślimy  
w Karlsruh zabawić. Podziękowałem mu za przy-  
jęcie.

wrę zapytanie, oświadczając, że jakkolwiek oba  
nie jesteśmy zamożni, nie potrzebujemy niczego,  
a na drugie odpowiedziałem, że choć nieco wy-  
jechać, a wracając lepiej mieć to tak pięknie  
zabudowane i zwiedzić bibliotekę wielkooksiąż-  
cą, nie wyjedziemy zapewne aż pojutrze. Jeżeli  
tak, odrzekł, to zrobię mi Pan zaproszenie (machen  
Sie mir die Ehre), i przyjdź do mnie na obiad  
ze swoim towarzyszem podróży. Ja, albo sam  
po rano przyjdę, albo was wezwem o godzinie  
obiadowej uwiadomię; u mnie, z powodu moich  
obowiązków urzędowych, obiad bywa raz wce-  
łniej, drugi raz późniejszy; zwykle nad wieczorem."

Brawacki wrócił do hotelu późno wieczorem. Opro-  
wiedziałem mu, że w jego nieobecności był u nas Baron...  
z wizytą — człowiek bardzo uprzejmy i swiatły —  
że nas obu zaprosił do siebie na pojutrze na obiad. "Wszystko  
to dobrze, powiedział mi na to mój współpodróżnik,  
ale ja jestem już na jutro rano zaproszony do doktora...  
z którym się przypadkiem poznałem, i to, oto, kilka  
godzin przeżyję na pogawędce; muszę dobrać



mał Stowa i bydlę u niego, a jak długo zabawię, kto  
to wie! Będziemy znowu rozprawiali nie tylko  
już o Polce i o powstania, ale i o cholera morbus,  
o której, wiadać, Łotwiłajy także nie mają, wy-  
obrażenia, a ja przecież tej epidemii badaczem  
naturę w szpitalu cholearycznych, w obozie za  
"Powązkami." Trudno go byto odwozić od dotrzy-  
mania Stowa. Nazajutrz więc rano prozostatem  
sam jeden w hotelu; niedługo jednak do czekałem  
się postarica z grzechem biletu od barona.  
że obiad będzie o tej a tej godzinie. To mi było  
na rękę; mogłem przedobiadlowego czasu użyć  
podług własnej woli. Po śniadaniu tj. po na-  
pieniu się kawy, w hotelu, wyszedłem też zaraz  
na miasto. Naprzód poszedłem na niedaleki  
plac przed placem wielkoksiążęcym, aby się  
przyglądać z bliska temu ostatniemu, i rozcho-  
dząc się stamtąd, w kierunku rozwinętego wachla-  
rza, ulicom, wszystkim jarałutenko jakby pod-  
sznurcom wymierzonym. Istotnie, śliczna, stamtąd  
zdała mi perspektywa! Sam pisać nie mogę,

mnie nie zadziwił, był jednak otkazy, i  
nie mógł nie zwracać na siebie uwagi każ-  
dego przechodnia. Nie zatrzymując się  
długo przed nim — bo znawca architektury  
nie jestem — poszedłem do biblioteki, znajduj-  
cej się w jednym z pawilonów. Wpierałem  
mnie bez żadnej trudności, gdym powiedział,  
że jestem podróżny — ein Reisende — chciał ją  
zowiedzieć. Przyjśćto mnie, awsem, bardzo go-  
rnie: jeden z obecnych w pięćwszej sali urzę-  
dników — może <sup>sam</sup> Bibliotekarz, może ktoś inny, tego  
nie pamiętam — nastręczył mi się na przewo-  
dnika i oprowadzał mnie kolejno po wszy-  
stkich salach — a było ich kilka — bardzo po-  
rządnie i czysto utrzymywanych, bo na za-  
danej książce, której się dotknąłem, nie było  
ani jednego pyłku. Mój przewodnik pokazy-  
wał mi ~~wielkie~~ rzadkie wydania niektórych  
dawnych dzieł z literatury niemieckiej, różne  
zabytki starożytności i inne osobliwości zło-  
żone w tej wielkoksiążecznej bibliotece. Oteja



z tego wszystkiego nie dziś nie pamiętam;  
pamiętam tylko dobrze, że tam & przyjeżdża-  
łem oglądałem bogaty zbiór rycin, miano-  
wicie frzeszczonych rycin anatomičných,  
które zapewne, z większym jeszcze niż ja-  
kaję ciem, oglądałby był Branczicki, bo w grun-  
cie był to cztowiek niepospolitej nauki i su-  
im zawadzie, chociaż tylko rzemieślniczo tra-  
nił się sztuki lekarskiej. Gdy się zabierał do  
wyjścia, mój przewodnik prosił mnie, abym się  
napisał do Asiegi, którą rozłożył przede mną, mó-  
wiąc, że wszyscy cudzoziemcy, zwiedzający bibli-  
otekę wielkoksiążęcą tak robią. Nie miałem powodu  
wymawiać się od tego, podpisałem więc: "Janusch  
Uoyna, warschauer Bürger." Ujrzawszy on  
mój podpis zdziwił się, widocznie, i spojrzawszy na  
mnie ciekawie, bo, jak mi zaraz wyznał, nie spa-  
dając domyślał się, abym był Polak. To jego zdzi-  
wienie zdawało się jednak być ormalną pewną  
zygliwością. Chciał bowiem zawiązać <sup>ze mną</sup> potężną  
rozmowę o Polsce, ale mu się jakoś wymówiłem,

i pożegnawszy go grzecznie, odszedłem.

Wyszedłem z biblioteki, przechodziłem się dłu-  
go po główniejszych ulicach praskiego, ac-  
żak na stolicę, wietkośia, 400, nie wielkiego  
miasta, bo nie liczącego wówczas więcej niż  
30,000 mieszkańców. Byłem w jednej z dwóch  
wielkich kawiarniach, aby przeczytać dzien-  
niki, i zobaczyć, czy takie jak w Drážnie, Lip-  
sku, Monachium i Sztutgardzie. W oknach nie-  
których księgarni widziałem karykatury,  
odnoszące się do naszego powstania, a chociaż  
nie wszystkie były udatne - bo Niemcy nie mają  
lekkiego dowcipu jak Francuzi - nie mniej je-  
dnak świadczyły o sympatyi dla sprawy polskiej.  
Widziałem tam, między innemi, karykaturę goła-  
cego Kosa, Dybicka; była to istotnie tylko kopia tej,  
jaka była wyszła w Warszawie, po bitwie Gro-  
chowskiej. Nareszcie kupiwszy sobie srebrną cy-  
gar<sup>nicę</sup> w miejsce tej od pani Gmelin, która, jak  
wyżej powiedziałem, podarowała mi się w Sztut-  
gardzie Berthowiowi, wróciłem do hotelu.

Gdy godzina obiadowa u barona nadwsta, nie czekając  
na Bravackiego, nie spodziewając się rychłego jego  
powrotu, i poszedłem sam. Baron przyjął mnie o-  
twartemi rękami, rad mi był bardzo, żartował tyl-  
ko, że nie przyszedł mój Reisegefährte. Przedsta-  
wił mi następnie dwóch już dorosłym i dorosłym  
córkom, jasnym blondynkom, z niebieskimi oczkami,  
był bowiem wdowcem. Niebawem zasiadliśmy do  
stołu wezworo. Obiad był wyśmienity, dobit było ki-  
cha, wszystkiego było obficie i wszystko smaczne. Wi-  
no rozumie się żeńskie, smakowało mi lepiej niż  
w Sztutgardzie. Było w końcu i szampanskie, i  
mogłbym być łatwo mieć przeobrać, gdybym się  
był nie miał na ostrożności, bo baron wciąż mi  
nalewał lub dolewał kieliszki, mówiąc raz i  
drugi fraufale: "Man trinkt bei uns, wenn man  
ist." Choć łyżki, noże, widelce i kieliszki były w u-  
bocie, to mi przeszkadzało rozmawie barona ze  
mną, a mieszały się do niego i obie panny, wypy-  
tujące się o zwyczaj w polskim życiu towarzyskiem.  
Rozmowa przeciągała się i po wypiciu Maury.



Baron chciał jeszcze wiedzieć niektóre szczegóły  
z powstania, o które mnie nie pytał poprzedniego wie-  
czora. Odpowiadałem mu pokrótce na stawiane mi  
pytania. Następnie zwrócił rozmowę na ówczesny  
stan Francji. Francya, mówił, okazała współczu-  
cie dla powstania polskiego; ona się to rozumieć,  
dodał zaraz, o ludności w ogóle — i przyjęcie e-  
migrantów zapewne gościnnie; ale rządowi Lu-  
dwika Filipa będziecie, Panowie, ciężarem (be-  
schwerlich), a przynajmniej będzie on was swa-  
żał za niewygodnych sobie i niemiłych gości —  
(unbequeme und unangenehme Gäste). Dalej jeszcze  
oceniał. Choć tego rzędu wewnątrz i nazewnątrz.  
Wewnątrz niepokój, go i podkopują, mówił, nie-  
przyjazne mu stronnictwa (feindliche Parteien);  
nazewnątrz zaś musi ulegać trzem śmiertelnym mo-  
carstwom, aby pozyskać ich względy dla nowej  
niejako dynastyi i pozwolić ustalić się jej; nie  
możecie więc, Panowie, tak konkludować — spodzi-  
wać się po nim niczego dla dobra waszej ojczyzny,  
jakkolwiek ma ona niezaprzeczone prawo do niepodległości.

sci." Zauważyłem zmięknienie jego twarzy i  
słuchałem zwrótych jego rozumowań, które  
musiały być równie szczere jak były szczere  
w ustach człowieka zajmującego niepoślednie  
stanowisko w rządzie jednego z satelitów tak  
zwanego Lw. Przyznaję się, że trzech naszych rurogów.  
Nie omieszkałem też dziękować imi uprzejmie  
i szczerze, biorąc sobie jego słowa za poważne  
i niejako przyrzecieliskie zwierzenia. Gdy już  
było późno w wieczór i czas nam nie oddalić się,  
nie zapomniał baron, jako prezes Komitetu,  
poinformować nas o najczystszej kaprytanii: czy ja  
lub mój kolega czego nie potrzebujemy, i to  
zapytanie niejednokrotnie powtórzył i nalega-  
niem, prosząc o otwartość: "Machen Sie keine Umstände."  
Córki prosiły także, abyśmy miały o wiece coś  
zbieliśmy od nich przyjęli. Nie mogłem się  
zdecydować imie, ani dla siebie, ani dla Bra-  
wackiego, nie chciałem przyjąć, dziękując za  
nas obudwóch i oświadczając, że znajda się  
zapewne jeszcze w przejeździe potrzebniejsi

od nas rodacy, i że im wsparcie stósowniej  
będzie mogło być udzielone. I baron i córka  
przestali wreszcie nalegać, pożegnali się więc  
z nami, jak mogłem najuprzejmiej; oni, życzyli  
mi szczęśliwej dalszej podróży, dobrego zdrowia  
oraz rychłego powrotu do rodzinnej i niepo-  
dłej ojczyzny. "Nie zapomnij Pan tytko na-  
pisać do nas fru niejakim czasie i donieść, jak  
się Pana będzie prowadzić, ja nie zaniedbam  
Pana odpisać." Były ostatnie słowa barona.

W hotelu powiedziano mi zaraz, że był profesor  
Walter, i zadowol, iż się już ze mną nie będzie  
mógł widzieć. Brauackiego jeszcze nie zastałem;  
wkrótce jednak nadjechał. Opowiedzieliśmy sobie  
nawzajem, jak każdy czas przeżył. Brau-  
acki, wypracowniwszy ode mnie, nie ganił mi wy-  
raznie, że mnie od barona czy od komitetu nie  
przysłał, rzecht jednak: "Lepiej podobno było przy-  
jść, co dać chcieli, bo..." "Może i masz rację?"  
wręcz mi przerwałem, nie chcąc słuchać dalszych  
jego uwag. Potem mówiliśmy już tytko, jakby



na rano jutrz wkrótce wyjechać, i gdy nas Helmer  
smiało a nieco podnieconym głosem zapewnił,  
że możemy być o to spokojni; bo na przykład on  
nas odwiedzi o godzinie, o której chcemy; bo,  
jak sobie życzyliśmy, landkutscher już ugodo-  
ny i będzie na nasze rozkazy, a z przynajmniej  
tem jego nie możemy też mieć drugiego obra-  
chunku. — Pożyczyliśmy się spać. Woleliśmy czy  
musieliśmy jechać sami, we dwóch, podobno  
dlatego, że dyktans tego dnia ku granicy Szwaj-  
carskiej nie miał odchodzić. Na rano jutrz usta-  
liśmy równo ze wschodem Słońca. Zapytany  
przez nas hotelnik czy Gastwirth, odpowiedział  
z przyjaznym uśmiechem, że nie. "Jak to nie?" re-  
klem nam to. "Baron von... wszystko za Panów za-  
płacić" odparł, uśmiechając się znów, i dodał: "Land-  
kutscher zapłacony także aż do Kehl." "Pan ba-  
ron bardzo łaskaw, przyznajemy to i wdzięczni  
smy", odpowiedziliśmy zgodnie na to wszystko. Po-  
zostawało nam więc tylko pożegnać się  
hotelnikiem i dać niejako obowiązkowy Trinkgeld

helnerowi, co też uczyniliśmy, po wypiciu jeszcze  
kawy. Niebawem zajechaliśmy landkutschem, i ruszy-  
liśmy dalej w drogę. Że nam baron załatwił fur-  
mankę, tylko do Kehl, to dlatego, muszę tu nadmienić,  
iż mu powiedziałem, że luba miatem paszport  
do Szwajcaryi, bo, że, się musiał w Kehl zatrzy-  
mać dla przeniesienia się w Strasburgu z ławiczym  
tam - podług świeżego doniesienia w dziennikach -  
agentem Komitetu polskiego w Paryżu.

Kehl  
Chociaż tego był mroź, a raczej może dlatego,  
oraz że konie były dobre, jechaliśmy szybko, i  
ściągnęliśmy do Kehl na noc. W porządnym  
hotelu czy hoteliku przemocowaliśmy wygodnie  
i załatwie pieniądze. Wraz jutro, po śniadaniu  
przemysłowaliśmy, jakby się przez Ren do  
Strasburga dostać z pomocą, że jeszcze w Dreźnie  
miatem paszport, wierzony nie do Francji lecz do  
Szwajcaryi, ~~na~~ mianowicie do Genewy. Jeszcze bowiem  
w Dreźnie dowiedziałem się był z dzienników o  
założeniu w Paryżu polskiego Komitetu nara-  
dowego pod prezydencją J. Siewela a oraz o

tém, że rząd francuski nie chce wpuszczać  
do stolicy emigrantów polskich, i kieruje ich  
do Besançon (Doubs) i do Arignon (Vaucluse).  
Z wielu powodów nie mogło być dla mojego wyje-  
żdu udawać się do jednego z tych miast prowinc-  
yalnych, z Genewy zaś spodziewałem się dostać  
Pisto do Paryża, proknieściem się listownie  
z Lelewalem. Teraz zmienilem me zdanie, gdy  
agent Komitetu Narodowego był w Strasburgu,  
chciałem się też koniecznie z nim widzieć, w prze-  
puszczaniu, że mi poda sposób dostania się  
wprost do Paryża, zamiast udawania się do  
niego dalszą i przykłą, wśród zimy, drogą  
przez góry szwajcarskie pełne śniegów. Bra-  
wacki, chociaż miał paszport, wizowany do  
Francji, nie mogąc jednak za nim udać się  
do Paryża, był w tym samym, co ja, stopniu.  
Sami jedni nie chcieliśmy przejść chodzie mostu  
na Renie, którego strzegły z prawej strony  
badońskie, a z lewej francuskie warty i celnicy.  
Poradzono nam wziąć przewodnika, i natych-



czono na takiego jakiegoś goli broda, znanego  
dobrze jednym i drugim celnikom. Ten podjął  
się przeprowadzić nas na 2<sup>ty</sup>. Jakoż przeprowa-  
dził szcześliwie, przedstawwszy nas po-  
dobno za swych współziomków czy współobywatel-  
— Landsteute czy Mitbürger —. Tam rozmawiał  
z celnikami, którzy go, może tylko dla formy —  
obserwowali, czy jakiego towaru zabrakło (np.  
tytaniu) nie przenosili, a nas wolno przepuścili,  
nie odczuwamy się do nas ani słowa. Niedaleko  
za mostem przechodziliśmy około pomnika  
ślawego generała Desaix, który zginął  
pod Marengo 1800 r. a potem, pod cytadelą,  
obok wielu piecznych żołnierzy, podrygających  
od zimna, wszystkich małego wzrostu i młodych,  
i którzy tylko tem właśnie jako tsi czerwone-  
nie spodniami zwrócili na siebie naszą uwagę.  
Brawacki mówił, że w r. 1812 widział wojsko  
francuskie na Litwie, ale ja, mając wówczas  
lat 9, widziałem tylko jednego nie dobitka  
w łachmanach, wracającego z pod Moskwy, wśród

nadzwyczaj ostrej zimy; nie mogłem mieć  
wprzód wyobrażenia, ani o umiarkowaniu,  
ani o postawie francuskiego żołnierza.

Na przybyciem do miasta, chcieliśmy się  
— rzec <sup>dowiedzieć naprzód</sup> — do agenta Komitetu polskiego  
w Paryżu. Wiedzieliśmy już z gazet, że  
się zwał Konstanty Zaleski, ale w mieście,  
liczącym wówczas 50,000 mieszkańców (dziś  
Strasbourg ma podobno drugie tyle ludności)  
nie mogła <sup>tylko</sup> wiedzieć jego adres: albo policja,  
albo redakcja któregoś z dzienników, a tych  
było kilka. Do policji nie chciałem się na-  
dawać ani ja, ani Brawacki. Bez wiel-  
kiego namysłu porzuciłem ja sam do re-  
dakcji znanego mi już z tytułu dziennika:  
"Le Courrier du Bas-Rhin". Jakoż powiedzia-  
no mi tam, że kapitan Konstanty Zaleski  
mieszka w hotelu: "Au Vigneron."

Wskazany adres Zaleskiego był dobry. Gdyśmy  
tam zaszedli, nie zastaliśmy. Wprawdzie naszego Za-  
leskiego, ale tylko — z niemałym naszym zdziwieniem

a ował z przyjemnością — już tyle razy wspomina-  
nego Vincentego Cypryjskiego, który był z Bra-  
wackim i w dawniejszej i w większej niż ja  
zażyłości. Oba byli sobie bardzo radzi. „Nie  
takie Łobeski, gdy nadzwał, był bardzo nad-  
wał. Był ten Żmudzin w moim wieku, dobrego jak  
ja, wzrostu, i z twarzy wcale przystojny. „O-  
wił po francusku i — lubo mniej. Biegł — takie  
po niemiecku; zalecał się też i t<sup>ę</sup>m, ke miał  
groze, będąc z siebie majętnym, jak się później  
pokazało. Należał on się bardzo dobrze na agenta  
Komitetu; Cypryjski zaś — na ówczas wielki zwa-  
lennik Łelewca — przy swej pojednawczej wymowie,  
był mu istotnie pomocą w stosunkach z przejeżdża-  
jącymi naszymi wojskowymi, którzy z proga da-  
mek obozowych wymieściły różne uprzedzenia prze-  
ciw Łelewcowi, i dlatego Komitetu Narodowego  
uznać nie chcieli. Większość wojskowych emi-  
grantów wolałaby była widzieć na czele Komitetu  
Księcia Czartoryjskiego lub którego z panów gene-  
ralów niż ukrywanego w obozach byłego pre-



zeza Towarzystwa patriotycznego, czy- jak de-  
ścić mówiono, Klubu Cypryjskiego miał Ta-  
godzić, umyśli, wszystkich jednak - zwłaszcza star-  
szych - nie przekonał, i Komitetowi nie zjednał.

Larzacany <sup>różnemi</sup> zapytaniami przez jednego i przez  
drugiego, nim na wszystkie odpowiedziem, prosi-  
łem ich, aby mi wprzód powiedzieli, czy ja się,  
pomimo zakazu rządu, nie będę mógł dostać do  
Paryża. Odpowiedzieli jednoznacznie, że to da się  
zrobić, i że oto może być spokojny; że jednak o  
wyjeździe Larza do Paryża nie powinienem myśleć  
z powodu, iż Komitet chce wstać nie teraz wysłać  
kogoś do Niemiec, a ja, jako mówiący pro niemiecku  
oraz jako mający już, w Niemczech pewne sta-  
unki, kwalifikuję się zupełnie do tej misji, i bę-  
dę niezawodnie, jeżeli zechcę, przez Komitet  
na powrót za Ren wysłany; trzeba mi tylko  
kilka dni zacząć na odpowiedź Komitetu, do  
którego oni w tym celu niezwłocznie napiszą. Lubię  
nie było wcale pro moją myśl, i nie przypuszczałem,  
aby Komitet a mianowicie Fetscher chciał się

raz nie mieszając w obec sprawę, uczestnicząc  
ich rady. Jakóż, napisali oni karaw do Komitetu,  
a ja, zdecydowany czekać, sprowadziłem sobie z Bra-  
wackim nasze rzeczy z Kehl. W Strasburgu, prócz  
Zaleskiego i Cyprysinickiego, było tylko kilku im-  
nych Polaków, a między nimi generał Franciszek  
Sznaide, dowódca karabinierów z korpusu Amorskiego.  
Ale i inni, małemi kupkami, zaczęli już z Bru-  
nadciągać, i nie bawiąc dłużej a raczej nie zatrzy-  
mując się prawie, udawali się w głąb Francji, do  
miejsc przeznaczonych im na miejsce pobytu.  
Mnie gołotyga nie niepokoiła, dzięki wpływom,  
jakie sobie Zaleski odrazu wyrobił. Przecha-  
dzając się też z nim swobodnie po mieście, i  
zwiadzał niektóre osobliwości, jak starożytną,  
i sławną, a wysokią wieżę katedry, ale na-  
wierz, przez wszystkie ciekawie zwiedzana, nie  
wyfałszem, głównie dla mglistego ciągu i śnie-  
żnemi chmurami ciężarnego powietrza. Stoto-  
wałem się za tanie pieniądze w hotelu wraz z Za-  
leskim i Cyprysinickim, gdzie się także stowarzyszyli.

generał Franciszek Szynajda i Harro Haring (czy  
Harro Haring), redaktor wychodzącego tam od niedawna  
dziennika "Deutschland". Ten ostatni stał się przed na-  
szym powstaniem w wojsku kozackim, podobno w ka-  
nopolcach, i stał ze swym pułkiem w Warszawie. Po  
puściwszy tę służbę nienadługo przed powstaniem, i  
będąc już za granicą, ogłosił on pamflety o Polsce,  
w których okazywał, jeżeli nie wielki talent pisarski,  
wielkie wygórowanie dla sprawy polskiej, a swą  
nienawiść do Moskali i ich rządów w Polsce, a  
mianowicie do Nowosilowa, którego wystawił  
po prostu jako pijanica i rozrabiaka. Był  
on uodem z Fryzji, i tąd też, nie wiem dlaczego, chę-  
cił, podpisując się Harro Haring, Friedländer.  
Był to mężczyzna, jak na byłego sławalerzystę,  
bardzo niskiego wzrostu, ale tatomist. Bardzo  
czuporny i obojętny. Dlatego i wprostój z nim  
rozumieć trzeba było być ostrożnym, aby go nie  
obrazić i uniknąć tego, co się nowie francusko:  
"une querelle d'Allemand." Lubił żartować, ale  
z żartów i ślickich żartów nie przyjmował. Tacy



ludzie nie mogą być w korzystanie prozodane,  
jakichkolwiek skądinąd były by ich potrzeby.

Wieczorami bywałam w wieckiej kawiarni  
"Au miroir." bo się tam głównie zbierała biedna  
Polonia, nadciągająca z północy, jak równie  
przed zimą, coraz gęstsze stadami. Wzrostko  
tam było smaczne, niedrogie i usługę przodka a  
chętna, bo i garsoni mówiący lepiej po fran-  
cusku i po niemiecku niż prosty lud stanchi —  
odwiedzali się. Każdemu ze swemi sympatjami  
dla sprawy polskiej. Byłem jednak z Łaleskim,  
podczas mego krótkiego pobytu w tym już dość  
niefrancuskiem mieście, i na kilka wieczorach  
w domach najmniejszych mieszczan. Wszy-  
stkie byliśmy uprzejmie przyjmowani.

Gdy upłynęło 10 czy 12 dni, nadeszła  
i odpowiedź Łaleskiemu w imieniu Komitetu.  
Wskutku tej odpowiedzi zajął się karak Łaleski  
wyrobieniem mi paszportu do Daryza na imię  
jakiego. Akcesyja przez redaktorów dziennika  
Le Courrier du Bas-Rhin, z którymi — jak i

- z innemi jeszcze osobami - nie radził mi za-  
brać znajomości, mówiąc, iż będzie lepiej  
jeżeli ma to komu w Strasburgu będzie znany, gdy  
bym najgorzej, miał być wygany do Niemiec.  
Jakoż za pośrednictwem tych panów, wyrobił  
on mi paszport na imię Charles Schneider, clerc  
de notaire.

Symonem coraz nowe kolumny emigrant-  
ów nadciągają. Wielu było takich, co się do pie-  
ro przygryztywali do mnie, znając mnie tyl-  
ko z nazwiska, albo nic, wiele z lat młodszych,  
ale byli i tacy, co, nie tak przed powstaniem jak  
w czasie powstania, znali się ze mną, osobicie  
i z bliska. Zliczby tych ostatnich był Karol Kró-  
likowski, późniejszy księgarz w Paryżu, o  
którym już, w tych notatkach, wspominałem, i  
jeszcze może nie raz wspomnę. Nie chciał on  
także udawać się do żadnego miasta na prowincję,  
ale dostać się do Paryża. Tak więc nalegał na  
mnie, tak mnie prosił i błagał, abym go kon-  
kretnie, zabrał z sobą, nie mogłem odmówić

tęj usługi, za którą — jak i za wiele innych,  
dawniej mu wyświadczonych — niekiedy cznie  
dobrze, miał mi się, prętem odwdziżyć. (M. Kri-  
likowski niedomagając od paru czy kilku miesięcy, i  
ze swęj Naboici tylko w Paryżu spędziewał się rzytło  
i radykalnie wyléczyć.) Zamiast starać się o wypro-  
szenie dla niego podobnego jak dla mnie paspor-  
tu, poradzono mi pomówić o tem z konduktorem  
mającego odejść nazajutrz do Paryża dyliżansu.  
Konduktor ten, jakiś przeciwny człowiek, gdy m-  
mu rzecz przedstawił, odpowiedział mi, nie sta-  
wiając żadnej trudności, iż to da się w ten spo-  
sób zrobić, że ja będę siedział z nim na wieżach  
dyliżansu, ukryty — będzie, i tylko będę mu-  
siał schodzić przed miastami, w których się dyli-  
żans zatrzymuje, i, po przejeździe ich pierszo, wsta-  
wać znowu napowrót, gdy dyliżans będzie pro-  
sząc obrócić; memu zaś Koledze (Krolikowskiemu)  
będę musiał oddać mój paszport, który dostę-  
mu będzie obaczyć żandarmom, ile razy go się  
on używają. Chociaż ten pan — dość przeciwny



konduktor - nie rozumie po francusku, że nie  
nie znaczy, bo gdy podróżny ma paszport w prze-  
pisanej formie (en règle), żandarmi, nie pytają  
go o nic.

Tak więc, zabawiwszy w Strasburgu dwa ty-  
godnie, jechałem wprost do Paryża, i wad byłam  
z tego, że nie potrzebowałem jechać na Szwajca-  
ryę; załatwiałem tylko listów polecających (z Nie-  
miec) do kilku literatów w Genewie i edukacji  
wychodzącej tam wówczas Bibliothèque universelle,  
które, przez moją nieostrożność, wpadły mi  
z wielkim paglarem z trzeciego pistrza Stras-  
burgu - że się wyrażę, profanacie - w loca secreta,  
a chociaż <sup>mi</sup>je stamtąd za 20<sup>fr</sup> wydobyla, nie mo-  
głem <sup>ich</sup> już nawet na pramiątkę zachować. W dro-  
dze nie miałem żadnego przypadku jechać tego  
że w Nancy o mało, w ręce żandarmom nie  
wpadłem. Przechodząc bowiem pieszko przez  
to miasto, spotkałem znajomego mi majora  
Lipkiego z 9 pułku pch. który przybył z Lotary-  
i jechał do Besançon, stósownie do rozporządzenia

rzadowego. Ten, aby się ze mną, razem napić czegoś  
gorącego, bo to było bardzo rano — Słońce zaledwie  
wchodziło, i mroź był tegi, <sup>mnie</sup> wciągnął do hote-  
lu, na którym stanął. Wtem wszystko dwóch zan-  
darmów, i zaczęło się wypytywać o podróżnych.  
Spostrzegły ich również w pierwszej sali, wyzna-  
kom im się szeroko, bo były na ulicę inne drzwi  
od tych, które oni weszli. Niepodobna mi już  
było czekać na rekomenderowany jax gorący tru-  
nek, i Lipskiego poścignąć, bo dał samie m-  
tylko uściśnieniem mu ręki, i z powrotem "Adieu!"

Po tej przygodzie nie chciało mi się bawić, w bractwie  
chciałam wiedzieć, że dyliżans miał się zatrzymać jeszcze u podróżnych  
miasta i rozpatrzyć, w niem cokolwiek, widzia-

łem tylko, i to z daleka, posag Stanisława Leszczyńskiego.

Dopiero przy samym końcu miasta, wstąpiłem  
do kawiarni, i napiewszay się tam kawy, podziżyłem  
na pobliskie za miastem wzgórce, na trakcie pa-  
ryskim, czekać tam na dyliżans, który też niezdługo  
nadszedł.

Po miazgach, przez dwa dni i jedną noc, <sup>podróży</sup> w dyli-  
żansie, przybyłem z Królikowskim do upragnionego

Paryż, 22 Stycznia 1832 r. Wymimo zakazu rządu, sciagnęło tam już było wielu redaktorów prasy Belgii lub z Anglii. Seleweł stał w niepozycznym wcale hotelu pod N<sup>o</sup> 8, przy małej uliczce des Cordiers, blisko Panteonu. Stali tam już z nim: Adam Gurowicz (zastępczym swoim bratem Bolesławem), Jacek Krapowicki, Antoni Huszniewicz, członkowie Komitetu, i podobnie Karol Edward Wodziński; dalej H. A. Półski, Wajelech Kazimierski, Jan Chyński, Bartłomiej Beniowski i podobnie jeszcze inni. Tam się zakwaterowałem; tam też umieszcili się tymczasowo Królikowski. Niebawem zobaczyłem się z Selewełem, i chciałem mu dać do przeczytania odebrane w Strasburgu od Schbauera ze Sztutgardu listy, w których mi tenże donosił, iż tam gotowości do powstania była ogromna, tylko nikt nie kwalifikował się na głownego dowódcę, i że potrzebna byłaby rzeczka, gdyby tam przybył który z generałów polskich. np. Ramorino, i stanął na ciele. (Gorący patriota



niemiecki, nie usterzył był, widział, temu, com mu  
o Ramoście powiedział.) Lelwel, gdy mu  
krótke treści listów wyłożył, kiwnął głową, i  
z wyjątkiem swoim. wzruszył ramionami, godząc się,  
na listy, rzekł: "Rozważymy to i pomówimy o  
tém." Czyli po prostu sam lub z kim innym rozma-  
żał, nie wiem; ale ze mną, o wyprawieniu mnie  
do Niemiec, wcale nie mówił; ja go też o to wcale  
nie zaprzedawałem, bo, po rozmyśle, nie miałem za-  
drój ochoty mieszać się czynnie do spodziewa-  
nego powstania w śródkowych Niemczech,  
choć i tego powstania nie mogłem sobie nie  
życzyć. Widać, że Łaleski i Cypryjski przy-  
pisywali. Komitetowi i jego procesowi zamiary,  
których, nie, miał ani jeden, ani drugi.

Hotelować się we wspomnianym hotelu nie można  
było, bo nie było tam traktjerii; prócz kawy, herba-  
ty i niektórych trunków, nie tam do zjedzenia ni-  
miejscu lokatorowie dostać nie mogli, był tam <sup>niekt</sup> tylko  
scieżka tylko dom z mieszkaniem do wynajęcia,  
to, co Francuzi oznaczają, ściślej nazwą: "maison meublée".

Na śniadanie też około 10 lub 11 rana, a na obiad między 4 a 6 godzina, po południu trzeba było gdzieś indziej chodzić. Chodziłszy zaś wszyscy wyżej wymienieni dość daleko, na prawy brzeg Sekwany, tuż za Pont-Neuf, na małą i ciasną, a dziś podobno już nie istniejącą uliczkę *Tre Chapelle*, pod N° 7. Trzymał tam restauracyę, jakiś Niemiec, i wszystko tam nie było drogie, nawet względnie do ówczesnej taniości. Amatorowie smaczej kawy lub gotowanej & kiełbasa mogli się tam uraczyć, jednak ani kawa, ani kiełbasa u tego Niemca, nie były tak smaczne jak u nas w Polsce. Zwyczajna porcja mięsnej potrawy kosztowała tam *6 sous* czyli 30 *centimes* tj. 15 groszy polskich, chleba każdy miał. Na napitek było *vin de wyborny*, ~~po~~ *taille* tyle, ile chciał — *à discretion*. Wiele tylko z naszych braci nie mogło się przyzwyczaić do jednej potrawy, do nożek baranich — *pieds de mouton* — z białym, xwiesistym sosem, która tam w spisie potraw — *le menu* — zawsze figurowała. Nie jeden okazywał do niej odrazę, mówiąc: "Ależ to

daje się tylko chętnym lub innym psem myślowym, nie ludzom do jedzenia? i nie dał sobie o nożkach baranich garsonowi przypominać. Potem jednak i takich delikacików kadydnie a raczej podniebienia przyzwyczaję się do tej jakoby podłej strawy — wie pabudeł — i b. śliczacy pateln z pomiędzy tych samych ichmościów co jej sobie podwójne porcje nazwali dawać. Ci co nie dopuszczali się jednego z siedmiu grzechów głównych — według przykazań katolickiego kościoła — wydawali na obiad około 1 franka lub mało co więcej. Przeciwnicy Komitetu i Lelewela, a było ich już nie mało rozmaitej barwy od 8 Grudnia tj. od czasu jak piéruwszy Komitet pod Bonawenturą Niemcewiczem został uwalony, a na jego miejscu ten postawiony pod wójłem, nazwa Komitetu Narodowego Polskiego i pod prezydencją Lelewela — ci, mówię, przeciwnicy — M. Mochnański grał pomiędzy nimi niemną rolę — wymyślali różne rzeczy na uczęszczających do bielańcy w nowie traktierni, a między innemi rozfaszali



że Lelwel po objeździe w Tirchape chodził  
na drugi smaczniejszy i droższy do Palais  
Royal, au mille colonnes, i że go tam regular-  
nie wieczorem widywano. Miał Rosni chcie-  
ć to się to sprawdzić, i dlatego, w pewnych kół-  
kach dawano temu wiara; ale nikt ze sumien-  
nych ludzi, choćby i z politycznych nieprzy-  
jaciół Lelwela, kto znał skromne jego życie,  
nie mógł mu robić podobnego zarzutu, i  
uważał to, jak w samej rzeczy było, za prostą  
rozkazytka, gotwarę. Tak samo należało wa-  
dzić o innych podobnych bajkach i bajeczka.

W pierwszych zarachowaniach, po moim przyjeź-  
dzie do Paryża, poznałem się bliżej z niektórymi  
Francuzami ze stronnictwa republikańskiego, zwa-  
nego wówczas także rewolucyjnym. Wypradało mi  
się naprzód do młodego doktora medycyny Na-  
poleona Lebon (czy Le Bon), który stał w uczynka-  
nym poźniej przez Polaków hotelu Cornette,  
przy ulicy tego, nazwiska, pod Odeonem. Był to  
syn czy synowiec głośnego, za pierwszój rewol-

Lucy i francuski. Konwencyonista Lebon (z Le Bon),  
którego charakter i postępowanie miały być  
w sprzeczności z jego mianem, który ugi-  
nął pod gilotyną w r. 1795. Pod adresem Luwrem  
tego delitora Lebon miałem list do Franciszka  
Wincentego Raspail pełne listy od adwokata  
Lichtenbergera ze Strasburga. Raspail był wów-  
czas prezesem republikańskiego towarzystwa  
pod nazwą przyjaciół Ludu (des amis du peuple),  
a Lichtenberger, zdaje się, także prezesem ad-  
mu tego samego towarzystwa w Strasburgu. Oba,  
mając już nieco rozgłosne imiona, byli, jako republi-  
kanie, zle od władz rządowych widziani, nauka-  
jem też zacięci i rżni, a więc i administracyi  
procy nie ufali, i uważali za rzecz roztrąpną pi-  
sywać do siebie najczęściej, o ile można było, pry-  
watną drogą. Dr. Lebon, odpieczętowaawszy adresuwa-  
ny do siebie pakiet, i zatrzymaawszy co było <sup>wprost</sup> (do niego  
pisane, oddał mi list do Raspaila, i wskazał jego  
adres, prośbą o bliżej ze mną rozmowę. Raspail  
mieszkał wówczas pod N<sup>o</sup> 4, przy kuchennej

się, dopiero zabudowywać ulicę d'Allan, nie-  
daleko za Panteonem, w stronę ku wojskowemu  
szpitalowi Val-de-Grâce. Poszedłem tam nieba-  
wem, lecz go nie zastałem, a przynajmniej tak  
mi powiedziała dość skromnie ubrana kobieta,  
która, wróciłem za stwórcą. Poszedłem drugi raz,  
i znowu nie leprosa, odpowiedzi dała mi ta sama osoba.  
Raspail był, istotnie, pod dozorem policyi, ale zada-  
leko posuwał się podjętym, wyrzucali mu to  
nawet jego przyjaciele, mówiąc, że on w każdym, co  
ktoś niego przechodzi, i na niego spogląda, widzi  
sygnęla policyjnego, mouchard. Widać, że i mnie  
po dwa razy brał za tajnego agenta policyi. I za  
trzecim razem chciała mnie jeszcze ta sama osoba  
— a była to żona uczonego chemika i filozofa — zniechę-  
cić odprawić; lecz, gdy się już miałem do odwrotu, wle-  
piła wzrok we mnie, i zapytała: "Mais qui êtes-  
vous, Monsieur?" "Je suis Polonais, Madame." Od-  
powiedziałem jej: "et je désire absolument parler  
à M<sup>r</sup> Raspail; j'ai une lettre à remettre à lui-même."  
— "Entrez, s'il vous plaît, byt jej odpowiedzia, i po-



prosiła mnie do drugiego pokoiku. (Raspail, który  
— lubo prawie połowę długiego swego życia spędził  
w więzieniach i na wygnaniu — przyszedł potem,  
dzięki swej popularnej metodzie leczenia, do trykroć  
czy czterokroć milionowego majątku, nie miał wdow-  
ca ani służącego, ani służącej, ani kucharki. Żona  
jego, sama jedna, spełniała te wszystkie rodzaje służ-  
by, mając tylko do pomocy — jak się później dowie-  
działem — przychodząca, z rana, na parę godzin  
kobieta, tak zwana *femme de ménage*.) Raspail  
siedział tam przy stole, i gdy mu żona, wpro-  
wadzając mnie, powiedziała: "Monsieur est Polonais,  
cofnęła się zaraz do pierwszego pokoju, a on, podniosł  
się, ułknął, rękę do mnie: "So yez le bienvenu,  
i prosił mnie siedzieć. Po odczytaniu listu, któ-  
ry mu oddałem, i z którego zdawał się być kon-  
tent, wszczął ze mną rozmowę, i zatrzymał  
mnie u siebie dość długo. Pamiętam pierwsze  
jego słowa potem były słowa zachwycenia: Ah! vous  
êtes Polonais, a dalej zapewniał mnie tak o  
swojej dla sprawy polskiej sympatyi w szczegól-

ności, jak w ogóle o sympatyi młodzieży i  
ludu francuskiego. Francya lipcowa wi-  
działa, podług niego, w Polakach Bohatérów  
wielkości i swych braci potężnych. (Ra-  
zumie się, iż mu już byłem powiedziać, kto jestem,  
i dać poznać mój sposób myślenia.) Raspaill  
mówił jedyńcie i z zapamiętaniem. Był to mąż mły-  
zna wyższego nieco od średniego wzrostu, czo-  
ło miał wysokie, twarz świeżą, włosy jasne blond,  
oko wielkie niebieskie, lat zapewne jeszcze  
nie spełnia 40, bo był tylko o kilka ode mnie  
starszy, a ja byłem, w 29 roku. W rozmowie  
nie taił niechęci do króla Ludwika Filipa,  
którego zwał pro prostu wdzierca, "intrus"  
i do generała Lafayette'a, który swą niezas-  
zoną, jak mówił, popularnością, potrafił  
wyzyskać triumf ludu nad starszą linią Bur-  
bonów na korzyść młodziej linii Filipowi je-  
dnak nie wrożył długiego panowania; do-  
daje, że we Francyi panowała pomiędzy ludem  
robotniczym niechęć do nowego porządku rzeczy.

i nie wiele brakowało, aby po wielu wiskrzonych  
miastach wybuchła tak groźnym powstaniem,  
jak Świdź w Lyonie, gdzie powstanci robotnicy  
fabryczni mieli za hasło: *Vivre libres ou mourir  
en combattant*. Wygrywał mnie też, jak i w  
duch istotnie panował w Niemczech, poza  
Renem, i czy tam można się było rewolucyi  
spodziewać. Wreszcie, po dość długiej rozmowie,  
zapewniając mnie jeszcze raz o swém dla  
sprawy polskiej i Polaków współczuciu, dał  
mi bilet na posiedzenia Towarzystwa Przyja-  
ciół Łudu, odbywające się, pod jego prezyden-  
cyą, przy ulicy Grenelle St Honoré, n° 45, na  
prawym brzegu Sekwany. Uczęszczałem tam,  
ale niedługo, bo po kilku nastu, a może tylko po  
kilku posiedzeniach, na których rząd a mia-  
nowicie ministerjum pod prezydencyą Gui-  
zota, mocno były atakowane, wytoczono temu  
towarzystwu proces, zakazany, wyrok, na-  
kazującym jego rozwiązanie, a skazującym



Raspaila na więzienie; na jak długo, nie pamiętam.  
Na tych ostatnich posiedzeniach Tow. przysięgł  
Lud, które się w ciąż tak powiększało, iż sala po-  
siedzeń, acz bardzo obszerna, nie mogłaby była  
wszystkich członków pomieścić, gdyby się byli  
wszyscy razem zebrali — na tych, mówię, posie-  
dzeniach zabierał <sup>czyste</sup> Godefr. de Cavaignac, i  
piorunował przeciw Guizotowi. Wnet się z nim  
zapoznałem przez Raspaila. Był on starszym  
bratem młodszego generała Eugenia Cavaignac  
i lubo zmarły przed r. 1848, swemi kastugami  
w stronnictwie republikańskim  
utorował mi drogę do najwyższej chwilowo wła-  
dzy w drugiej rzeszy państwa; bo ten po wybu-  
chu nieszczonego powstania czerwowego (wr. 1848)  
został na celnikiem władzy wykonawczej (chef  
du pouvoir exécutif), i przytknął do sprawdzenia to  
powstanie, ale w sposób tak krwawy, iż go potem  
lud znienawidził tak w Paryżu jak w departa-  
mentach, mówią: lud prawdziwy, nie niechętności  
Styratem nie rządził, jak go pogardliwie  
nazywano Tłem Koniskim (tête de cheval) i po-  
no

iż miał twarz pociągłą i czerniawą.

Ponieważ coraz bardziej gwałtownie abym  
we właściwym miejscu i czasie mógł jeszcze  
w tych Notatkach o Rasprailu mówić - bo, po-  
atug wszelkiego podobieństwa, przyjdzie mi  
je na dobre przerwać i niedokończyć ich -  
wolałam opowiedzieć nieco szeregów moje-  
dalich z nim stosunki.

Gdy w r. 1836, rząd francuski powziął wiadomość  
o treści mającego wyjść (4 Grudnia) manifestu  
Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, poru-  
bił go wydadź go polsku, ale nie po francusku.  
Oznajmił to Centralizacyi Powszechnej  
jego instytucyi, która była w Paryżu, prefekt  
departamentu de la Vienne, Alexis de Jussieu.  
To zaaktualizowało niegramatną Centralizacyę, która  
rzeczywiście manifest zaprojektowała, i do skut-  
ku doprowadziła, i której ja byłem członkiem.  
Trzeba było do woli czy nakazu rządu  
stosować, bo wszelki opór w tym względzie  
mógł pociągnąć za sobą rozwiązanie towarzystwa.

w rzeczywistości tylko tolerowanego, Francuzom  
bowiem towarzystwo politycznych niewolno  
było xawiażypnąć. Musieliśmy się więc narazie  
ograniczyć na wydaniu owego manifestu  
w trzech tłumaczeniach: w angielskim, nie-  
mieckim i włoskim, po ogłoszeniu go w pol-  
skim języku, nie przestając jednak prze-  
myślać, jakby go wydać po francusku.  
Do tego należało użyć kogoś z przychylnych spra-  
wie polskiej i znanych już publicystów francuskich,  
którymto dużo czasu na namyśle, do kogo się udać.  
Nareszcie, <sup>na wiosnę</sup> ~~w początkach~~ 1837 roku, nie będąc już  
w Paryżu, poradziłem nowej Centralizacji udać się  
do Raspaila, i udaliśmy się do niego w tym w <sup>1834</sup> g-  
dzie. Raspail zajął już był, w latach ~~poprzednich~~,  
wybitne stanowisko pomiędzy publicystami fran-  
cuskimi, jako ~~reakcyjny~~ redaktor radykalnego dzien-  
nika Le Reformatteur, na którego założenie i wy-  
dawanie dostarczył funduszu jego przyjaciel b. Ra-  
pitan Kersosie, jeden z bohaterów lipcowych a także  
przyjaciel sprawy polskiej. Raspail podjął się



chcieliście zaprosić nas do naszego życia w brzo-  
rze sprawie polskiej poświęconej, z warunkiem,  
że Towarzystwo pokryje druk. Nie mogli-  
śmy nato nie przystać, bo nie wypadło wyima-  
gać po nim pieniędzy, ani ofiar, zwłaszcza, że wie-  
dziedliśmy, iż wówczas nie miał majątku, a może  
jeszcze i nie myślał go robić. W skutku tej umowy  
Centr. zebrała potrzebne do zamierzonej broszury  
materiały, <sup>popolskie</sup> przystąpiła mi je na wiecz. w depota-  
mentcie de St. Yonne - gdzie byłem nauczycielem domo-  
wym u zamożnego republikanina, a ja, przetożone na  
francuskie, przestatem potem Raspailowi, wraz  
z własnymi dodatkami i manifestem, w tłumacze-  
niu francuskim już należycie opracowanym, do  
druku gotowym. Raspail przyrzekł był wy-  
gotować rękopis na 15 Sierpnia. A że to był czas  
wakacyj, i ja mogłem się na parę lub więcej tygo-  
dni od obowiązków uwolnić, a z drugiej strony ma-  
jąc na uwadze, że Francuzi rzadko kiedy polskie  
rzeczy dobrze rozumieją, że więc i Raspail mógł-  
by nie chcący niejedną rzecz opacznie przedstawić,

...tem do C<sup>te</sup>, że gotów jestem pojechać do Taryja,  
i poprosić Kaspaila o odczytanie mi wywód re-  
krypcji, nim go odda do druku. C<sup>te</sup>, będąc tego sa-  
mego zdania, przyklonił się memu zamiarowi.  
Gdyż jednaki przybył do Taryja na wyznaczony  
termin, tj. 15 Sierpnia, i poszedł do Kaspaila z byłym  
jak ja, członkiem C<sup>te</sup>, Henrykiem Jakubowskim, któ-  
ry mieszkał w Taryju, ten nam oświadczył, że chę-  
tnie zgadza się na odczytanie nam rekrypcji i na-  
robienie mu uwag, jakibyśmy na potrzeby uzna-  
li, ale że rekrypcji jeszcze nie wygotował, i ledwie  
go pisać napoczął. Prosił więc o odwłokę dwóch ty-  
godni, tj. do końca miesiąca. Rzekł prosta, wyzna-  
dając nam na to przystać, nie dając nam najmniejszej  
pouki, że ta odwłoka niekoniecznie była potrzebna.  
Że ja zaś, miałem parę set franków, i mógł  
mieć więcej, bo u brata jego mości, u któregoś tu  
tem domowym nauki ciem, mieszkającego w  
ryżu i będącego baronkiem, miałem otwartą kasy, i  
przadziliśmy sobie, tj. ja i Jakubowski, i przypięliśmy  
złotyśmy okasa aż do końca miesiąca Sierpnia. Nie-

chaliśmy we dwóch statkiem parowym — Kłoci  
zelażnicę w tej stronie Francji jeszcze wówczas  
nie było — do Rouen i do Hawru, nie tyle dla zwie-  
dzenia tych miast lub ich okolic, ile dla poznania  
osobistość znanych nam już z nazwisk braci demo-  
kratów, bo w jednym jak w drugim mieście była  
sekcya Tow. Demokratycznego, każda złożona  
z kilkudziesięciu członków. Nie było pomiędzy ni-  
mi starców i niedołężów fizycznych, jak ja dzisiaj wry-  
szy byłem mniej więcej młodzi, wryscy, jako jednego  
sposobu myślenia, zgodni pomiędzy sobą, a że w oby-  
dwu miastach łatwo było znaleźć zatrudnienie —  
każdy oddawał się jakiejś pracy, nikt z pomiędzy  
nich nie cierpiał niedostatku. Byliśmy też na-  
tylko miłe, ale i gościnnie przyjmowani. — Podróż  
(<sup>wspólna</sup>) z Sekwandą z Rouen do Hawru prześliczna! Brzegi  
naszej Kochanej Wistły, kiedy w r. 1823 przyjąłem  
galareni z Krakowa do Warszawy, miały napo-  
wne dla mnie swój urok i gdyby mi Losy tego czasu  
dozwoliły — oglądałbym je z tą samą łabością, co  
dziś moje strony, ale one z malowniczymi brze-



gami dołnej sekweney nie wytrzymają. W Hawrze  
kapralisimy się w murze raz czy dwa razy. Powróci-  
<sup>w pierwszych dwóch dniach</sup>wszy do Paryża przez Rouen, gdzieśmy się zatrzy-  
mali i przeczecowali, podejmnowaniżnowu gościć  
nie od naszych politycznych współwyznawców,  
udałisimy się do Raspraila jeszcze tego samego dnia  
wieczorem; bo on nam tylko wieczorne godziny na konfe-  
rencyo i soba, wyznaczył i pbowy podglądów argusów po-  
licyjnych, którymi się mniemał być obłożonym. Lecz  
on obciężny nie dotrzymał, a gdybyś <sup>innym</sup> będać jak, mówi,  
nieodzwrotnie pilną dla niego pracą, i wyznaczył nam  
znowu drugi termin, przepraszając za zwód. I tym  
razem nie dałisimy mu spokoju, że zwłascza druga od-  
włoka nie mogła nam być miłą. Ponieważ zaś była  
już wówczas Kolej z Paryża do Wersalu i druga  
do Saint-Germain-en-Laye, umyślisimy koleją, żelazną,  
zrobić znowu wycieczkę, do pięknego i tych miast,  
aby nie siedzieć w Paryżu pomiędzy niesłychanemi je-  
stym murami podczas bardzo pięknych dni wra-  
żeniowych. Ja mianowicie i lubo już znalem dobrze Wers-  
al od r. 1832, gdzie nie raz bywałem, kiedy wiodły z Paryża

[illegible]

magnum, prócz tego, zwiedzić Stawne muzeum  
obrazów, w tamtejszym zamku, niedawno zakończone.  
Gdyśmy przybyli do tej dawniej rezydencji Królów  
francuskich, spotkaliśmy się z Teofilem Januszewiczem,  
zaraz na dworcu kolei żelaznej, gdzie on miał ja-  
kąś małą posesję. Z tym byłym prezydentem Konińskiego  
województwa Janomirskiego, byliśmy oba z Te-  
klubowskim na balach, jako członkowie C<sup>h</sup> z r. 1836  
i 1837, przeciwko którym on także z Józefem Brdągą,  
Walerym Lisieckim i kilkoma innymi, a pod  
przewodnictwem Karola Różyckiego, w owych la-  
tach dotkli kopał i proklatnie Towarzystwo prze-  
ciw niej podburzał. Januszewicz powitał nas  
jednak uprzejmie, i na obiad wieczorem do sie-  
bie zaprosił. Zaproszenie, jak gdyby pomiędzy  
nami nigdy nie było, przyjął, i po zwie-  
dzeniu muzeum, gdzie są i obrazy odnoszące się  
do historii polskiej, poszliśmy do niego o wyzna-  
czonej godzinie. Januszewicz miał żonę, i dwiema  
córkami, starszą już dorosłą, a drugą dorastającą.  
Zastaliśmy tam młodego Piotra Skawinińskiego, któ-

ry nam już był znawiska znany, jako członek  
Tow. Demokratycznego. Był to dorodny i inteli-  
gentny młody człowiek, rodem także z Sandomir-  
skiego, jak Januszewicz; brat się już do jego młod-  
szej córki, i z nią się później ożenił. Nadzwyczaj  
czaj grzeczności podejmowani, nie bez przyje-  
mności przejeżdżaliśmy tam cały wieczór. Na-  
zajutrz mieliśmy wracać do Paryża; ale ska-  
winski zapraszał nas z sobą do Grignon, gdzie  
był uczniem sławniej tamtejszej szkoły agronomicz-  
nej, perswadując nam, że ponieważ Grignon  
leży w połowie drogi z Wersalu do St Germain  
en-Laye (tj. tylko o 8 kilometrów od każdego z tych  
miast), on zais chętnie odprowadzi do St Germain  
gdzie także nie jedna rzecz jest widzenia, a stamtąd  
znowu koleją, żelazną, będziemy mogli iść do  
Paryża. Daliśmy się namówić, i na zajątrz-  
powędrowaliśmy z nim na piechotę. Ja pierwszy  
dałem się namówić z powodu, że w szkole agrono-  
micznej w Grignon <sup>stake</sup> był ~~moim~~ mój dawny wspaniały  
uczeń ze szkół krakowskich, Maksymilian Żelkowski,



Nbory następnie w tej samej szkole zostat  
adjunktem profesorem, a w końcu dostawszy  
się do Galicji, miał wzięść w powstających  
tam, za zmianą absolutyzmu austriackiego, to-  
warzystwach rolniczych.

Grignon, niewielka wioska nad rzeczką, niedaleko Ławy,  
z powodu, że ma wszystkie domy murowane i dachówki  
pokryte, mogłaby się Polakowi wydawać jak miasteczko.  
Tęż za gmachem szkolnym i należącemi do niego za-  
budowaniami rozciąga się park obszerny, a obok  
niego parę staj ornego gruntu, na którym ucie-  
wiają się oraci. Prócz Skawieńskiego i Żel-  
kowskiego, było tam jeszcze kilku innych Pola-  
ków emigrantów, uchających się także ugrzonić. Za-  
poznaliśmy się, rzecz prosta, ze wszystkimi, i prze-  
pędziliśmy parę dni przyjemnie, równie z ni-  
mi jak ze Skawieńskim i Żelkowskim, ile że to  
była jeszcze podczas wakacji. Ten czas szedł  
nam chętnie na zebraniach <sup>i pogawędkach</sup> ~~w mieszkaniach~~  
tego lub owego na wsi, bo dla braku miejsca  
w katedrze, niektórzy, a między nimi Żel-

Kowski i Skawinski, na wsi miedzkali - przeszli  
na przechadzki po parku i zwiedzanie  
pomieszczeń szkolnych, na oglądanie różne-  
go rodzaju narządów rolniczych i zwierząt do-  
mowych rozkosowa utrzymywanych. Z zado-  
woleniem też opuściliśmy Grignon, gdzie, jak  
w Rouen i Hawrze, nie potrzebowaliśmy się-  
gać do kieszeni, będąc gościnnie i pro brater-  
sku przyjąnowanymi. Żelkowski i Skawinski  
chcieli nas odprowadzić do samego St Germain,  
aleśmy na to nie pozwolili; odprowadzili  
nas też tylko do pętowej drogi, tj. mniej więcej  
ośmiu kilometrów.

W St Germain nie mieliśmy żadnego prowa-  
du dlatego się zatrzymywaliśmy; musieliśmy jednak  
przenocować. Na rano: przy pięknej  
pogodzie, przeszliśmy się cokolwiek po mie-  
ście, potem na wysokiem wzgórzu. Tuż  
za miastem rozciąga się wielki las, wy-  
sokopienny. Że zaś od strony Paryża wzgórze  
bardzo strome, jest na krawędzi lasu a ponad

urwiskami długiej mur, wysokośći mniej więcej  
jednego metra, ślad przeszłości, widok na Paryż  
i jego pobliskie okolice. Nowoczesny, wprost  
tym widokiem, wróciliśmy koleją żelazną,  
do Paryża. Z St Germain-en-Laye, jak z Wersalu  
jednaką prawie do Paryża odległość, około  
20 kilometrów. Jazda koleją żelazną, z tego  
miasta do Paryża, gdy się zjedzie na niwie, nie  
jest tak urocza, jak z Wersalu lewym brzegiem  
Sekwany, ale nie mniej byliśmy z niej zadowoleni,  
podziwując, po drugiej raz, nieobliczoną, ważność  
świetnego wynalazku XIX wieku, który nie  
miał być ostatnim.

Nie mając pewności, czy Raspail ma już rękopism  
gotowy, i nie chcąc jeszcze raz mieć zawodu, poszli-  
śmy do niego dopiero w parę dni, po powrocie do Paryża.  
Mógł on już ugotować rękopis, ale jeszcze, niezu-  
pełnie wykończony. Przystąpił <sup>jednak</sup> do czytania  
nam go zaraz tego samego wieczora. Czytanie to  
musiałoby zabierać kilka godzin; rękopis był  
obrzędniejszy, niżśmy się spodziewali. Nad pier-



wszelimi rozdziałami: O naturalnych granicach Polski,  
o kształtach rządu u dawnych ludów europejskich  
w ogólności, o ludach słowiańskich w szczególności  
i o feudalizmie, przeczytałem w części do Słowian od  
ludów europejskich, trudno było robić mu jakieś  
kolwiek uwagi, byłby w nich własne jego pomys-  
ły, w których rozstraszanie w dawać się nie mu-  
gliśmy. Dopiero, gdy nam czytał o władzy królew-  
skiej w Polsce, o stosunku szlachty do tej władzy,  
i dalsze rozdziały, opiewane na podstawie do-  
starzonych mu przez C. i przeczytałem ma-  
teryałów, wypadło mi (Jakubowski mato się  
odzywał) zrobić mu parę uwag, i zrobiłem je  
z całą oględnością i delikatnością, aby się nie u-  
raził, i nie wziął mi tego za jakąś improwizację.  
Między innymi, pamiętam, rzekł mi wyma-  
wiałe niezgodną z historią, wzmiankę o Chmiel-  
nickim — w anym przez niego jedném słowem  
"Bo gdanko" — i on, wystuchawszy mego prze-  
żenienia, zgodził się nato bez trudności. Trzeba wie-  
dzieć, że Chmiński z trudem potrafił utworzyć sobie i

Niedokładne a raczej błędne wyobrażenie o Chmiel-  
nickim z niektórych publikacyj francuskich  
Jana Czajńskiego i z artykułów tegoż o kozakach  
i wojnach kozackich z Polską, w dzienniku Le  
Réformateur umieszczanych. Koncowego, najobrzyd-  
liwszego rodzaju: "Przyznanie Polski" Raspaill nam  
nie czytał, bo go, jak namienilem, nie miał jeszcze napi-  
sanego, i my też, na odczytanie nam go, nie mieliśmy.  
potrzeby czekać, zostawiając szanownemu autora-  
wi zupełną swobodę wypowiedzenia swoich  
osobistych zapatrywań.

Tak powstało dziełko: "De la Pologne sur les  
bords de Vistule et de l'Emigration." Raspaill  
przyznawał je wyproszonemu już przyjacielowi  
jego, Kersakemu, będącemu wówczas na wy-  
gnaniu w Anglii, porozumiewający się z nim po-  
przednio w tym względzie. W tém przyznaniu,  
dla zastąpienia się przed rządem francuskim,  
poważada Kersakemu "... znajdujące się w tém dzieł-  
ku, a dotychczas Francyi nieogłoszone akta emigran-  
tów polskich, jak np. Manifest Towarzystwa

Demokratycznego Polskiego, są tłumaczenia-  
mi autentycznych, któreś mi z Anglii nadesłał.  
To dziełko w dziennikach francuskich różnie,  
stosownie do opinii każdego, było oceniane.  
W jednym z głównych organów stronnictwa  
liberalnego a raczej demokratycznego, w Le  
National, ocenit je bardzo przychylnie mój  
imiennik, podpisujący się (aby Francuzi na-  
zwiśka jego źle nie wymawiali) Yanuski Jean,  
syn starego wojaka pozostałego we Francji  
po upadku Napoleona. O tym moim imienniku,  
z którym się przyjaźniłem, ożna dostać  
z nim w tymże r. 1839 proznaną, są już wzmian-  
ki w moich papiernach, przeznaczonych do Biblio-  
teki, tu tylko nadmienię jeszcze, że on, za pa-  
nowania Ludwika Filipa, był, przez po-  
myślną, napastowany za mnie od golićcy, a  
nawet raz aresztowany, ja zaś odbieratem  
od Polaków prowinizowania za niego, kiedy  
on, nie pomnę, za jaką, pracę naukową, ode-  
brał nagrodę od Instytutu Francuzkiego.



to teraz o rychte ogłoszenie, w przelotadzie  
polskim, dziełka Kaspraka. Pragnęła tego nie  
tylko sama C<sup>ya</sup>, ale całe. można powieścić Jan<sup>o</sup>  
a, przyjaźniej gorliwi o propagandę zasad  
demokratycznych w kraju jego entonkowie,  
zwłaszcza, po trzech czy czterech artykułach Le-  
onarda Rettla, który to dziełko w Demokracie  
Polskiej z introductionem zapisał i wadze pu-  
blicznej polecał. Tem tłumaczeniem umiałem się  
ja zająć; tego zadania po mnie C<sup>ya</sup> i Kasprak się  
spodziewał. Tymczasem L. Rettel tak się był za-  
jął do tej pracy, że mnie prosił usilnie o  
odstąpienie inu jej. Zgodziłem się na to, i zabrał  
się zaraz do tego tłumaczenia; ale, że styl Ka-  
spraka, lubo jedyny a nie, prami i światły - msta-  
tów, owszem nieraz zawity, nie szło mi odtudzić;  
niektórych nawet wyrażen autoru wolał mi prze-  
sumować, i błędnie chciał je oddać. Widząc to C<sup>ya</sup>  
skłoniła Rettla do odstąpienia zamieru, i mnie  
ostatecznie tłumaczenie poruczyła, prosząc oraz,  
abym się z tem przed nikim nie wydawał, a to

dla niekompromitowania Kettla, który już był  
w Paryżu rozgłosz, że się tem tłumaczeniem  
zajmuje. Przystałem i na to; wskazał już po-  
przednio tłumaczytem bekiniennie "Le livre  
du peuple" Lamencgo i nie jeden artykuł do De-  
mokraty Polskiego i Przeglądu Dziejów Polskich.  
Tłumaczenie moje wydane zaraz 19<sup>to</sup> w Jostiers  
1844. pod tytułem: "Polska nad brzegami  
Wisły i w Emigracyi" zestawiona przedmowa.

Dziśko Raspailla dobiegło boleśnie stron-  
nictwo arystokratyczno-dyplomatyczne, skru-  
piające się około księcia A. J. Czartoryskiego  
i przez niego kierowane, natychmiast, że wypo-  
czął się nastąpił w nim przerwom. Organ  
jego dotychczasowy: Kronika Emigracji  
Polskiej, wydawana przez Karola Boro-  
meusza Hofmana et consortes, popierająca  
Książkę pana jako niby naturalnego naucz-  
nika Emigracyi i Polski, przerwata wycho-  
dziła, a na jej miejsce Janusz Woronick, po do-  
szczeniu broszury "Rzecz o dynastyi i o auto-

ryskich" zaczął wydawać dzienniki Trzeci Maj  
• porygując ~~per pax~~ ~~Charlorypskiego~~ do tronu  
państwa i mienia go po prostu — bez żadnej  
protestacyi z jego strony, a więc za jego przy-  
zwoleniem — jakby z Bożej łaski "Królem de facto".  
Ta przeciwna dynastia i jej poplecuchow-  
nie mogli dnieć cierpliwie ciosu, jaki dzieł-  
ko Raspailla ich dzielnym wroczaniem za-  
dano. Postanowili też przynajmniej osłabić  
nieco wrożenie, jakie ono wywato w prze-  
chylnej <sup>sprawie</sup> ~~protekcji~~ publicznej opinii fran-  
cuskiej, która przy wroczaniu Polaki ho-  
refacem i społecznym nie zajmowała. Jakż  
wymależli pomiędzy mato co znanymi ge-  
nerałami francuskimi Felixa Colson, które-  
go postępowe stronnictwo francuskie nazy-  
wato "błędem" (transfug) ze swego obozu — i do-  
starczywszy mu materiałów zażądali od  
<sup>napędzania chęci</sup> ~~niego~~ niewyrachniej i tylko niejako ubocznej  
ze dliki na dziełko Raspailla. I Colson — ro-  
zumieć się nie zadarmo, locz dobrze napędzony —





na prowincyjnymieszkałem — odnowiłem znowu  
znajomość i przyjazne stosunki z Raspailem. Nie po-  
trzebował on już wystrzegać się, tak argusowo i  
oczu politycy, jak w r. 1839. i nie mieszkał na  
Montrouge, prawie poza miastem; ale niemal w środku  
miasta, przy ulicy M<sup>le</sup> prince, i do tego wy-  
godniej niż przedtym. Wydawał dziennik  
L'Ami du peuple, i miał klub noszący jego na-  
zwisko. Ze wszystkich klubów, a było ich bardzo  
wiele <sup>ten jego klub</sup> był podobno najliczniejszy, i mieścił po-  
stępczenia w wielkiej sali Montesquieu — mogą-  
cej pomieścić 4,000 osób — przy ulicy tegoż na-  
zwiska, blisko Palais-Royal. Dawał mi też naraz  
stały bilet na posiedzenia tego klubu; ale ja,  
w przeciągu trzech czy więcej tygodni, na ka-  
dném nie byłem, będąc zawsze wieczo-  
rami indziej swoimi zajęciami. Natomiast odwiedza-  
łem go często w jego mieszkaniu, i tam po-  
znalem wspomnianego już jego przyjaciela  
Kersozego, który był wrócił z wygnania, i u-  
on z więzienia, w skutek uchwały Lutonij.

Kersusie, który w r. 1831 nie udało mu się przedo-  
stać się do Polski i wziąć udziału, jaku ex-wojko-  
wy, w orsznej jej walce, goręcej jeszcze, rze-  
cz można, niż Raspaill zajmował się sprawą naszą,  
ale w tym względzie więcej było u niego kapa-  
tu niż rozważli, więcej szlachetnego uczucia  
w sercu niż umysłu politycznego w głowie.  
Uwierzył on był słowom wieloletniego wówczas  
Lamarbina, który biorąc pochop i wybuchów  
rewolucyjnych w Berlinie i w Wiedniu, a chcąc  
się, przybył z Francji emigrantów polskich,  
powiedział ~~na~~ <sup>do siebie</sup> wyśtań, przez nich deputacji.  
"Droga do Polski jest dla Północy otwarta. (Le  
chemin de la Pologne vous est ouvert.) Chciał  
mnie <sup>też</sup> nie czynić prowadzić do Ludwika Blane,  
który z <sup>którym</sup> ~~razem~~ różnego rodzaju robotników,  
potrzebujących zarobku na życie, utworzył był  
tak zwane warsztaty narodowe (Ateliers natio-  
naux) — zarządzając mi, iż ten odda pod moje  
rozkazy (sic!) 25,000 ludzi gotowych zaraz gro-  
maszerować do Polski. Ledwo mogłem ruszyć



moim wierzyć, słysząc taką prognozę, a ust  
czło wieka, już w dojrzałym wieku i którego  
z reputacyi, jakiej w stronnictwie republi-  
kańskiem od r. 1831 używał, mogłem mieć za  
mniej więcej wytrawnego polityka. Ta jego  
prognoza tak niespodziewana i dziwna nie  
mogła znaleźć z innej strony przyjęcia, wywołała  
tylko przybliżoną, między nami dyskusję. Dru-  
żając mi też, jak mogłem najuprzejmiej, za-  
dobre jego chęci dla sprawy polskiej, i przy-  
znając mu, że ja stuszenie uważa za sprawę  
ogólniej wolności, wręcz mu na zarząd oświad-  
czyłem, że ja do podobnej czynności żadnego  
mandatu nie mam, a potem mu przedkła-  
dałem, że nie tylko ja w żadnym razie, ale i  
CZ (le comité central), która reprezentuje  
przeszło 2000 demokratów polskich, nie mogłaby  
się zgodzić na jego prognozę, bo ona z wie-  
lu względów jest niepodobną do wykonania.  
I nie trudno mi to było wykazać, przypuszcza-  
jąc bowiem, iżby był Louis <sup>Blanc</sup> przystał na nią, i

znalazło się 25,000 ludzi, gotowych zaraz wyruszyć do Polski, czym Rosztem i którzy dybyto ich prowadzić? Sam nawet tymczasowy rząd francuski nie byłby wzwalał na wyprawadzenie ich na granicę, skoro, dla zaspokojenia Europy monarchicznej, wydalany, d. 4 Marca, w jego imieniu przez Lamartina, manifest ogłaszał o wypisaniu, iż Rzeczpospolita francuska nie uznaje <sup>co do siebie</sup> sprawadliwie Prasklaten wieńskich z r. 1815, ale szanować będzie rozgraniczenia terytoryalne, przez nie ustanowione, że więc tęp samem wyzwekła się propagandy rewolucyjnej, i do trzech kaborców Polski zdawała się mówić: *Uti possidetis, ita possideatis!*... — Pocciwy Kersosie dał się nareszcie przekonąć, i przestał nalegać na mnie o pójście do Ludwika Blane, gdy Rasseail, zajęty pisanie w drugim gołkoja — Który był otwartym i nie utrzymującym się długo do naszej normowy, wchodził w Mosien, i zwracając się do niego, odezwał się: *Non, ce n'est pas de cette manière là, en effet, que la France peut intervenir avec succès*

przez siebie zaprowadzić i głosować przeciwko nim, a zatem wzmocnić

en faveur de la Pologne. Raspail chcial, jak  
Barbès i inni z deklarowaniami przyjaciele sprawy  
polskiej, formalnej, zbrojnej interwencji Francji  
do Polski. Dlatego, jak Barbès i wszyscy z reszty  
klubisci, agitował on do 4 Maja, w celu oba-  
lenia tymczasowego rządu (gouvernement  
provisoire), a po tym dniu, w którym się ze-  
brała Konstytuanta<sup>(x)</sup>, agitował w celu obalenia  
ustanowionej, na miejscu rządu tymczasowego,  
władzy wykonawczej (pouvoir exécutif), do  
której wreszcie także znowu jawny nieprzy-  
jaciół Polaków i Polski Lamartine. Najkrótszy  
opis tych agitacji byłby tu za długi; dość kie-  
dy powiedzmy, że reszta wiadomo — że powstanie  
impionująca, bo przeszło 200,000 uczestników  
licząca manifestacja za Polską, chybiła celu  
i tylko niezmierne uszkodziła dobrą sprawę.  
Wszystkie petycje klubów ułożone były w je-  
dnym duchu, a petycja klubu Raspaila od-  
znaczała się jedynością stylu i gruntownością  
argumentów. Ale Raspail, jak Barbès i inni

(x) Konstytuanta czyli zgromadzenie reprezentantów ludu (représentants du peuple) po pierwsze wy-  
przez swoje o zaprowadzenie głosowania powszechnego i stałego do tworzenia Konstytucji  
wybranego

naczelniczy klubów, chcieli przed awżech wstać i  
zgromadzeniem — jak to bywało przed Konwen-  
cją, za pośrednictwem rewolucyj — przedłożyć na-  
czelę ludu i osobiście mu swoje petycje złożyć.  
Tę Konstituanta postanowiła nie dopuścić,  
i tylko za pośrednictwem jednego z swych człon-  
ków pozwoliła do siebie petycje podawać.

Podczas kiedy Caspail negocjował o to z dele-  
gowanymi przez Konstituanta, udało mu się  
dostać do sali posiedzeń, i zaczął czytać przedsta-  
wianą, przez siebie petycję, na co prezes  
Bucher, rad nie rad, zezwolił. Wnet dawna  
siedziba Izby deputowanych, a teraz Represen-  
tantów Ludu, powołanych na prawodawców  
Rzeczypospolitej — le Palais Bourbon — została  
formalnie oblężona przez lud coraz tłumniej  
napływający. Już był niezmierzny, i gdy na  
dzieńdziesiąt pałacu — od strony placu, zwanego  
wówczas Burgundzkiem (place de Bourgogne) padł  
strzał karabinowy, rozległ się huk — w którym  
się i ja znajdowałem — że chcą strzelać do niego.



Stum. też rzucił się natychmiast, z niepoohamowaną  
gwałtownością, — jakby na komendę — do wytar-  
niania sztachet czyle krat żelaznych, otaczają-  
cych dziedziniec, i wysłamałszy je w okamgnieniu,  
pośpiesznie oporu gwardyi narodowej trzymają-  
cej tam wartę, wstępując ku niemu do sali po-  
siedzeń. Wciwnąłem się i ja z nim, a raczej we-  
juch nieś tam zostatem. Widok tam był przeraża-  
jący, i nasunął mi się, bo jakkolwiek, znając  
skład Konstytuancy, w której Larraurline br<sup>o</sup>  
nie jako wygadani, nie spodziewałem się zia  
dobrego skutku z tej całej manifestacyi, nie  
przyjmującem jednak tego, co się stało. Gdy  
wszedł, już było po ogłoszeniu Konstytuancy  
za rozwiązania, przez niejakiego Huberta.  
nie wiem, czy samowolnie z jego strony, czy  
też podług poprzedniej umowy z Rasmilem i  
innymi, i to podobno ostatecznie — wzięło  
nie zostato. Członkowie Konstytuancy już nie ur-  
lu było w sali, i ci, jeden za drugim, spiesznie  
opuszczali swoje miejsca, które lud walczył

zajmował z kabuszem i siebie z tryumfem, Pre-  
zes Buchet, strajający takim pragnieniem  
legatności, opuszczał w milczeniu swe kro-  
sto, a Raszra il, rozgorączkowany, wychodził  
szybkim krokiem; spotkawszy mnie, uścisnął  
mi rękę, i powiedział coś w dwóch czy trzech  
słowach, czego nie pamiętam. Od tego czasu  
już go więcej nie widziałem. Pomyślałem  
dalej szczegóły z jego życia, które tu nie by-  
łyby na swoim miejscu, jako do jego bio-  
grafii należące. Koniec, rzecz o nim nadmie-  
nieniem, że gdy pro. r. 1860, kiedy on już prze-  
szedł był do trzech czy czterech milionów, ma-  
jątku i zamieszkał w pięknym m-palacyku  
z parkiem w Arcueil-Cachan o kilka kilometrów  
od Paryża — napisał do niego z prośbą, a  
raczej z zapytaniem, czyby nie chciał  
co poradzić jednemu z moich przyjaciół  
na trudny do wyliczenia defekt. Odpisał mi  
odmową nie, i z wymówkami, że go Polacy opu-  
ścili, i zapomnieli o nim, kiedy on, po wy-

pracekach 1848. był prześladowany. Nie  
mogłem bez odpowiedzi zostawić tego jego  
listu. Odpisaniem ma też jak należało, w wyra-  
zach wskazać smierć kierowanych i grzecznych

Tak się skończyły moje stosunki z tym uczonym  
i sławnym człowiekiem, który — jak to dołem poznać  
nie wychodząc <sup>niektóre</sup> zewnętrzną stronę jego charakteru — był  
równie szczerym jak gorliwym rzecznikiem sprawy  
polskiej we Francji do r. 1848. W tym roku, po zwo-  
łaniu Konstytuanty, extralegalne ustowania Ka-  
sparda i jego współpracowników politycznych upadły,  
jakby były upadły i legalne. Chwila przyjaźnia  
do deklarowania się republikańskiej Francji za na-  
rodowośćami ucisnionymi już była przeminięta;  
manifest Lamartina już był wszystko popisał.  
Rewolucya zatrzymana w swoim rozwoju w Pa-  
ryżu, musiała się zatrzymać w Berlinie i Wiedniu,  
po świetnych w tych stolicach — za charakterystycznym  
wpływem Francji — wybuchach, które wywołały  
niebawem tylko straszną reakcyę. Gdzie bowiem  
nie ma silnej akcyi, tam musi być reakcyę.

Louis Blanc, będący w Londynie na wygna-  
niu, równocześnie z nim, 1850 r., uprzedzał mnie  
i innych Polaków, że rząd tymczasowy, którego  
on był członkiem, nie zamierzał być wcale o  
Polsce, ale, gdy, zaraz po swojej instalacji, za-  
wierał będących w Paryżu generałów, aby mu  
powiedzieli, ile wojska może Francja wypro-  
wadzić w pole, a ci mu jednoznacznie oświad-  
czyli, że nie więcej niż trzydzieści tysięcy,  
rząd tymczasowy nie mógł przybrać nieprzy-  
jaznej postawy względem monarchicznej  
Europie, i wydać innego manifestu jak  
wydał. To zapewne, jeżeli tylko tak istotnie by-  
ło - to mianem ów rząd tymczasowy i Lamarti-  
na; ale dlatego one sparaliżowały przedsię-  
wzięcie Ledru Rollina, który, jako minister  
spraw wewnętrznych, wysyłał cichaczem  
swoich agentów do Niemiec i do Belgii, chcąc wy-  
wołać ogólną rewolucję w Europie, której  
skutkiem mogło być wyzwolenie Polski  
utrwalenie Rzeczypospolitej we Francji? -



(Przestrożę ci się, że chociaż lubię swiętosztę,  
o ile ona daje się pogodzić z jasnością, — wpra-  
dam mimo wolnie w rozwektuś. Jest to wino  
mojego stanu zdrowia, niedozwalającego mi  
często należytej rozważy, a oraz mego wieku,  
skłonnego do gadatliwości. — Senectus garrulust.  
Tak zapewne będzie i dotęj, będe jednak jeszcze  
zbierać i notować moje wspomnienia, <sup>choćby będe mógł</sup> skoro mi nie do  
tego zachęcać nie przestaje mąż, potę dla mnie życia.  
Lec.)

Drugi, po Raspallu, znany młodością naukową  
i polityczną, z którą, się, zaraz po przybyciu do  
Paryża w r. 1832, po raz pierwszy, był wyżej wspomnio-  
ny Buchez, najpierwszy prezes Konstytucyjny w r.  
1848. Poznał mnie z nim Lelwel, mający już  
z nim bliższe stosunki, bo on zgłosił się, był zaraz  
do Komitetu Narodowego, jak się tytło zawiązał,  
z oświadczeniem mu swojej życzliwości i usług,  
jakkieby mu mógł oddać. Buchez miał jeszcze  
wówczas przyjać na urzędach w ministery-  
um spraw wewnętrznych i w prefekturze

proficy, i przez tych to jego przyjaciół, otrzy-  
mywał Komitet Narodowy paszporta dla  
Polaków, których chciał gdzieś wystać pod  
obcym nazwiskiem. I tak wystanny został  
do Włęgier, pod nazwiskiem Schlittenberga,  
M. Felix Janiewski, który, podczas powstania,  
odgrywał smutną rolę, jako wydawca wca-  
le niesumiennego dziennika pod nazwą: "Po-  
lak Dziennik", i o którym w swojem miej-  
scu już mówiłem. Buchez był w lepszym ma-  
teryalnem położeniu niż Raspail; zajmo-  
wał owszem bardzo wygodne pomieszka-  
nie, w środku miasta, przy ulicy Chaban-  
nais Nr 8, gdzie w dość obszérnej sali, wykła-  
dał nie ganię tam, jak exstot - Kurs historii  
ludzkości (Cours d'histoire de l'humanité).  
Nie miał on ponurującej, świetnej wyrazu,  
jaka się <sup>odznaczała</sup> wspaniałości, współczesni mądzie nazywali,  
ale mówił płynnie, donośnym, przyjemnym  
głosem i przekonująco, jak przybłona  
filozofa. Miał też słuchaczów zawsze pełną

sale, po większej części <sup>ludzi</sup> poważnych wiekiem i sta-  
nowiskiem społecznym, profesorów z wyższych  
zaktadów naukowych. Jak np. Lherminier, da-  
wnego wówczas profesora historii porównaw-  
czej prawodawstwa (histoire des législations  
comparées) w Collège de France. Bywałem na  
tych jego konferencyach, dopóki byłem w Pa-  
ryżu, ile razy mi nie przeszkodziło. Mógł  
powiedzieć, że mnie Buchez bardzo polu-  
bił; zapraszał mnie też często do siebie, bądź  
na śniadanie, bądź na obiad. Na tych śniada-  
niach i obiadach - a był on kawalerem - by-  
wałem razem ze mną, jego przyjacielem i wspólnym  
pracownikiem naukowym w czasopiśmie: "L'Européen",  
które wówczas wydawał, a potem w dwudzię-  
stoimowym dziele: Histoire parlementaire de  
la révolution française, na zwiskiem Roux-La-  
vergne. Siedząc przy stole rozmawialiśmy  
w trzech o tym i o owem, można by powie-  
dzieć de omni re scibili, ale bez dodatku  
et quibusdam aliis. Rozumić się, że <sup>zawiesz</sup> Buchez

ze swym przyjacielem prowadził głównie  
rozprawę; ja się nie do wszystkiego mogłem wtra-  
cać i nie wtrącałem, chyba gdy byłem o zdanie  
zapytany, lub gdy mowa była o znajomym  
mi dobrze przedmiocie. Kci<sup>te</sup> ~~z~~ <sup>przeto</sup> ~~przeto~~, że z po-  
wodu mojej obecności bywała zawsze jakaś  
wzmianka o Polsce i Polakach <sup>stannijących</sup> ~~lib~~ ~~oraz~~  
ruch po francusku o Polsce. Naszych, jak o  
Janie Jakobie Rousseau, którego, nie pomnę  
dlaczego, nazwał raz un pauvre bonhomme.  
W tym razie musiałem się w kilka słów  
odezwać za filozofem genewskim, jako za go-  
raczym przyjacielem Polski; temu Bucher  
przełożyć nie mógł, i nie przełożył. Innym zna-  
razem pozwoliłem sobie zrobić mu uwagę  
— rozumieć się w sposób delikatny, że Ludo-  
ność, w brednicki wiekach, nie zamknęła się  
całkiem w granicach starożytnej Francji, w któ-  
rych on zdawałoby się chce zamknąć jej historję,  
zwracając się ciągle w swoim wykładzie do  
odniesionego nad Samoznami zwycięstwa



przez Karola i Martela w r. 732 — ale rozcią-  
gnęła się daleko na Północ i Wschód, i że tam  
także, a nawet dalszej tylko nieco. po książ-  
ce odpięramo tych nieprzyjaciół Ludzkości.  
Nie pamiętam dobrze, czemu na to odpowiedział;  
zdaje mi się, że mnie jego odpowiedź nie zado-  
woliła. Francuzi mogą zapewne chlubić się wiel-  
kiemi zasługami względem Ludzkości, ale  
niełatwo którego z nich przekonać, że i  
inne narody. protożyły nie małe zasługi  
w sprawie bezpieczeństwa, swobód i oświe-  
ty Zachodu Europy, choćby tylko poire-  
dnio rzecz uważając.

W r. 1834 czy 1835 założył Buchez towarzystwo na-  
ukowe pod nazwą "Institut historique de Paris."  
Na prezesa onego przedstawił mającego sławę  
z głębokiej nauki o Tonka Akademii francuskiej  
Michaud, autora bardzo cenionego dzieła: "Bio-  
graphie universelle", i ten został wybrany pre-  
zesem, a on tylko wiceprezesem, jak sobie życzył.  
W pierwszych latach swego istnienia towarzy-

stwo to rozwijało się wcale promyślnie, wyda-  
jąc w miesięcznych zeszytach, czasopismo pod  
nazwą "Investigateur", i zwołując co rok Kon-  
gres historyczny do Paryża, które się odby-  
wały w ratuszu, we wspominanej sali St Jean.  
To upoważniło je poniekąd do zamienienia  
swojej nazwy na "Institut historique de France".  
Ale jego pomysłowość nie trwała dłużej nad lat  
kilkanaście; ~~zwłaszcza~~ istnieje ono dotąd, ale o  
nim w świecie naukowym, zwłaszcza od  
śmierci Buchera nie wiele słychać. Z Pola-  
ków weszli byli, wcześniej do niego Michał  
Czapkowski, późniejszy rezydent, Sadyk Tarsa,  
i drugi, podobny wietrynik i spekulant poli-  
tyczny Jan Czapkowski. Laraz wkrótce po swoim  
wejściu, podobno za probudką Buchera, poda-  
li mu nie onie na cześć. Lecieli indywidualni,  
jako będącymi wówczas w Towarzystwie  
ochronie polskiém, bytem wcale dobrze, i przy-  
jętem ich propozycję, tem chętniej, że spodzie-  
watem się, iż będą mogli podawać artykuły o

Polce do Dykcyonaria historycznego Któr-  
zy to towarzystwo wydawać miało. Nadzieja  
atoli moja zawiedziona została, lubo ja przy-  
jęty zostałem i byłem członkiem Komisji wien-  
tem tego towarzystwa (classe des langues et  
littératures étrangères) do r. 1848; bo to towa-  
zystwo takiego ubiorowego dworu nie wyda-  
ło i tylko jeden z jego członków, Dufey de  
Pomme ogłosił swoje indywidualne prace  
pod tytułem: Dykcyonarz historycznego.

Dawny węglarz (carbonaro) i spiskowiec  
przeciw starszej linii Burbonów filozofował  
jeszcze Bucher ~~zwanym~~ z r. 1832 i kilka  
następnych, i stuszenie nazywany był filo-  
zofem. Z czasem atoli, zachodząc w lata, co raz  
mniej miał prawa do tej nazwy, i w końcu  
stracił je zupełnie u swych dawnych kolegów  
i przyjacieli politycznych. Ci dziwili się,  
i nie pojmowali, jak człowiek tak głośne-  
go amysłu mógł w Nowym Testamencie do-  
jrzeć się tego, czego tam nie ma, jak mógł

naprzed w rękę liberalnego, a potem  
przedzierając się w prawo i lewego Kato-  
lika - un wroć chrześcijan<sup>jak mógł</sup> (wierzyć w objawienie,  
we wszystko, co Kościół katolicki do wiecze-  
rnia podaje i wypełniać przykazania te-  
goż). Istotnie, Bucher, jeszcze na wiele lat  
przed śmiercią, zmienił się do niepoznania,  
wymarzył sobie, że katolicyzm może się  
sam odrodzić i odrodzić Ludzkosć. Tej swo-  
jej doktryny nie znalazł on wielu zwolenni-  
ków pomiędzy swymi rodakami, jak się  
to i innymi tego rodzaju reformatorom  
nie udało. Wleciwycito jej się kilku z po-  
między Polaków: Józef Ordega, Walerjusz  
Wielogłowski, Stanisław (hr.) Potkowski, Jan  
Kanty Podolecki i niektórzy inni. Tym spo-  
sobem powstała w Tonie emigracji polskiej  
garnitur pseudodemokratów katolików, śmiesz-  
dawała ich niejaki dziennik "Demo-  
cracya Polska ~~III~~ wieku" usiłując napróżno pod-  
kopać Tow. demokratyczne polskie, które  
stała dobrą sprawą narodową; przynajmniej

gdz. 1848 r. 1870. Został powołany do życia przez...  
i zwrócił pod swoją dyktando...  
nie wykluczała i z czasem nie...  
Polski (Polska 1881) i...  
Ordega...  
Kanty...  
Podolecki...  
i niektórzy inni...  
Tym spo-  
sobem powstała...  
emigracji polskiej...  
garnitur pseudodemokratów...  
katolików, śmiesz-  
dawała ich niejaki...  
dziennik "Demo-  
cracya Polska ~~III~~ wieku"  
usiłując napróżno pod-  
kopać Tow. demokratyczne...  
polskie, które  
stała dobrą sprawą...  
narodową; przynajmniej





do naszej biblioteczki w Paryżu pragnę-  
li nabyć jak największym kosztem jego dzieło: "Hi-  
stoire parlementaire de la révolution française."  
Umart w Paryżu 1865, w 10 tomu krycia  
Dzienniki chłodne o nim i dość sarko-  
niczne zaimieszczyły wzmianki, nawet te,  
które mi niegdyś nie przeszkadzały, jak wst.  
Tłuszczy: nauka, talent i inne dobre przyniosły nie sta-  
nowia, jeszcze istotnej wartości człowieka, i nie mogą  
mu jednać trwałej sławy w świecie moralnym i po-  
litycznym, jeżeli im nie towarzyszy charakter. Tę-  
gość i stałość charakteru to najpiękniejsza zaleta.

Le za przybyciem mojem do Paryża, w r. 1832, w ciągu  
15<sup>tych</sup> miesięcznego w nim pobytu, musiałem, prócz  
z Raspailem i Buchezem, zapoznać się z wielu innymi  
Francuzami, rzecz łatwa do przyjęcia, Syonjista  
dla sprawy polskiej jeszcze była nie wygasła, i  
utrzymywała się, lubo nie z tych samych pobudek,  
i nie w równym stopniu, we wszystkich można po-  
wiedzieć, stronnictwach, prócz rządowego. Wszyscy  
moich znajomych z owego czasu niepodobnaby byłoby

wyliczać inne byłoby. warto; bo, chociaż pomiędzy  
nimi mogłaby się znaleźć jakaś znakomitość, byłby  
to, po największej części, znajomości - że tak powiem  
przelotne, z powodu mego, pro 15 miesięcy, i  
oddalenia się na prowincję. Wszakże wymie-  
nię dwóch: 1<sup>o</sup> młodego wówczas bardzo literata  
Barthélemy Haubéau, dziś jednego ze zna-  
komitszych członków Instytutu Francuskiego  
i dyrektora Drukarni państwowej, który, choć  
nie miał ze mną, ciągłych stosunków, dochował  
mi wiernie starą życzliwość; i 2<sup>o</sup> głównie-  
go redaktora dziennika "La Tribune", Armand  
Marrast, już od wielu lat nie żyjącego. Ten, po-  
między dziennikarzami, odznaczał się szcze-  
gólniej częstym przypominaniem sprawy pol-  
skiej francuskiej opinii publicznej i umio-  
wianiem się za emigrantami polskimi, ile  
raz, coś nieprzyjemnego im pokazywało się  
w innych dziennikach francuskich lub za-  
granicznych. Stąd się często z nim widywałem.  
Jedynym mu, raz zaniósł do umieszczenia w "La

Tribune" odpowiedź na kazący parygiu k. ks.  
Charturyskiego (H.J.), umieszczony w "Le Messenger  
des Chambres" przez Ludwika hr. Platera - pa-  
rygiu k. ogłaszający k. precesu Rządu Narod-  
owego polskim Kabinetem, którego <sup>skronie</sup> miała chcieć  
Polska wieniec królewską koroną - on wien-  
niat się przyjąć tę odpowiedź, ubolewając  
przyciem nad brakiem jednności i zgody w po-  
nie emigracyi. Musiałem mu tłómaczyć ten  
brak postępowaniem ks. Charturyskiego w ra-  
sie powstania, postępowaniem upartym i nie-  
zgodnym z dążeniami i opiniami wyrażną narodu.  
Musiałem mu powiedzieć, że lubo ks. Chartu-  
ryski stał na czele rządu powstaniowego, je-  
dnak powstania samego nie popierał, towar-  
se ję pataliżował, zowiąc smutniejszą i niespodzie-  
wanym wypadkiem, a akt dobroczyńcy Mikołaj-  
ja zguba, Polaki itd. Nareszcie prosiąc go,  
aby mi pozwolił zrobić sobie jedno przypu-  
szenie, za pytałem: czyby on pogodził się  
z p. Guizot, gdyby razem z nim, jakimś wiel-



Kiśm niedzięściem, wyparty zart do Amery-  
ki. Na to nie mógł mi odpowiedzieć twier-  
dząco, bo silna, i zawzięta, jeżeli nie najsił-  
niejsza, i najzawziętsza, opozycja, stawiał mi-  
nisterstwa Guizota. Nie robił mi też później  
już więc uwag o braku zgody i jedności  
w emigracji polskiej. Mógł być potem  
redaktorem dziennika ~~Le~~ "Le National"  
bardzo także przychylnego sprawie Pol-  
skiej i Polakom. W r. 1848 był on prosta-  
chercie tj. od nieznanego dnia 15 Maja pre-  
zesa Konstyтуantu, i on to, wśród wiel-  
kiej uroczystości, uchwalał, w tym roku  
konstytucję, na placu de la Concorde, i sta-  
wił ogłosit.

Wracam do moich stósunków z rodakami, i  
nadmieniam, że, wszystkiego, z czasu mego pier-  
wszego pobytu, w Paryżu, nie będę mógł opowia-  
dać ściśle chronologicznym porządkiem; nie  
jedno bowiem działo się równocześnie z drugim.

Powiedziałem wyżej, że Komitet Narodowy

miat wynajęty lokal w domu pod № 12, przy  
ulicy Taranne. Tam też odbywały się posiedze-  
nia emigrantów, tak tych, którzy go 8 Grudnia  
wybrali, jak tych, co później do Paryża przy-  
bywając, uznawali go za reprezentację i organ,  
i gromadzili się około niego. Te ich posiedze-  
nia nazywały się ogólnemi zgromadzeniami  
(zebraniami) Polaków w Paryżu, i odbywa-  
ły się mniej więcej periodycznie, co tydzień.  
Tam, w r. 1832, odbyły się również obchody pier-  
wszej rocznicy dekonieczacji Mikotaja i  
bitwy Grochowskiej. Lecz Komitet Narodowy  
nie był wybrany przez wszystkich emigran-  
tów, obecnych w Paryżu 8 Grudnia, i nie  
wszyscy go uznawali, później przybywając,  
mając różne uprzedzenia przeciwko niemu,  
a mianowicie przeciwko jego prezesowi, u-  
przedzenia mniej więcej niestwierdzone, wy-  
wołane z kraju. Tak samo miał wielu przeciwni-  
ków na prowincyi, w zakładach Besancon  
i Aignon, z samych prawie wojskowych sto-

żonych, i ich liczba powiększała się w miarę  
jak nowe oddziały (kolony) emigrantów  
przybywały tam z Niemiec aż do połowy  
1832r. Na ten stan rzeczy zwrócił się Komitet  
w swém Zdania sprawy z czynności od 9 Lute-  
go do 15 kwietnia 1832r. i ja te jego zdanie  
powtórzyłem w części w broszurze: "O poczt-  
ku demokracji polskiej" do której dość mi się  
odwołać. Tu zaś treść wie opowiada, jak, kula-  
ją przyszło do założenia Towarzystwa De-  
mokratycznego, tj. do powstania Demokracji  
polskiej. Na ogólném zarządzeniu przy-  
wołanym d. 16 Lutego, Sławery Broni-  
kowski - ostatni wiceprezydent Warszawy  
w czasie powstania <sup>lipcowego</sup> i jeden z wiceprezeso-  
w <sup>ów</sup> politycznego - wystąpił z oświadczeniem,  
że ma złożyć przeciw Komitetowi zastrzeżenia  
nieobojętne. Wskutek tego oświadczenia zarządził  
prezes Komitetu - zebrać, aby z ogólnego zgro-  
madzenia wyznaczone były niekiedy osó-  
by do bliższego rozpatrzenia czynności Ko-

mitetu. Jakoż temu jego zadaniu stało się za-  
dosyć, zaraz na tem samém posiedzeniu, i wy-  
brana została deputacya, z przycin cztunków  
słoxona, mająca roztrząsnąć czynności Ko-  
mitetu i złożyć raport ogólnemu zgromadzeniu.  
Do tej deputacyi większością głosów powołani  
zostali: Kazimierz Alexander Piłsudski, Januay  
Romuald Stuzanski, Jan Nepomucen Janowski,  
Jan Czujński i Eustachy Janusziewicz.

Deputacya ta, chcąc rychło spełnić włożony  
nań obowiązek udzielonym jej mandatem, przy-  
stąpiła zaraz nazajutrz do rozpatrywania się w przed-  
łożonych sobie aktach Komitetu, i po rozpatrze-  
niu się w nich w kilka dni, na długich codziennych po-  
siedzeniach, poruszyła prezesa Selewela o udzielenie  
jej iustnie niektórych objaśnień. Selewel  
zdyjmuł się natychmiast wezwaniu, i wzbraniał się  
sam osobiście przed nią stać, przysposobiona  
swoje miejsce do sekretarza Komitetu Waler-  
a Diczkiewicza, to cztunków Antoniego Ma-  
szewicza i Leonarda Chodźkę. Stał się on



dnem w końcu, i dał zadane objaśnienia, gdy  
iż deputacya tego domagać nie przestata, na-  
brawszy z allt przekonania, że nie Komitet  
kolegialnie, ale sam jeden prezes z sekretarzem  
lub kilku młodszych członkami, a ex cetero i bez  
nich, wiele rzeczy złatwia. W przeciągu nie-  
spółna dwóch tygodni, bo 29 Lutego, mogła de-  
putacya wywierać się ze swego zadania, i  
zdać raport wraz z 11 wnioskami ogólnemu  
zgromadzeniu. Deputacya w tym raporcie  
nie odmawiała Komitetowi dobrych chęci  
i wielkiej pracowitości; owszem, chętnie mu je  
przyznawała, równie jak pocziwanie się  
tego członków do zasad demokratycznych,  
na których — zdaniem jej — wiążąco — wszel-  
kie działania w sprawie narodowej opierać  
się powinny. Lecz że Komitet, z braku po-  
trzebnej adwokatów śmiałości czy cywilnej odwagi  
zasad tych publicznie nie objawił, przeka-  
zał o ogólnemu zgromadzeniu konieczną, po-  
trzebę takiego ich ogłośnienia, śmiało i otwarcie.

To było przedmiotem pierwszego wniosku; inne wnioski były, mniejszej wagi, i dziś mogą powiedzieć że drugi — względem zawieszania stosunków z niektórymi narodami — zawierał nawet zbyt duże wymagania. Łatwiej krytykować niż działać z zgodowoleniem wszystkich, i opozycja nie widzi często trudności, jakie napotykają sprawujący faktycznie władzę. Zresztą, nasz raport pisał pomyślnie, w ostatniej chwili, Dutastki, i nie mieliśmy dość czasu rozważyć go należycie.

Złożyliśmy więc nasz raport w oznaczonym terminie, na posiedzeniu 29 Lutego. Zaraz na początku tego posiedzenia, gdy Dutastki zaczął czytać, Lelewel się oddalił, pomimo że go w imieniu deputacji prosiłem, aby pozostał, bo może będzie miał jakie uwagi do zrobienia. Tymczasem zgromadzenie ogólne, wystawiając naszemu raportowi z oznakami zupełnego zadowolenia, przyjął to dwa pierwsze wnioski prawie jednomyślnie, bo tylko dwa czy trzy głosy były przeciwnie, pisał Kan-

terbarego Tynowskiego, Kazimierza Włodawskie  
go (syna deputowanego) i podobno Pułkownika  
Kazimierza Żabowskiego. Tej niekwało był Le-  
lewel przeciwny z większością Komitetu, i  
poddadź jej się, nie chciał. Nie omieszkaj  
tęż być obecnym na zwołaném <sup>zaraz</sup> języcz siębie  
na poniedziałek (tj. 2 Marca) zgromadzenie o-  
gólnem, i zabrawszy głos z powodu protokołu  
i z poprzedniego posiedzenia - tyle swemi  
przełożeniami dokazał, że zgromadzenie u-  
niemożliwiło poprzednie swoje postanowie-  
nie względem napisania politycznego wy-  
znania wiary Komitetu i odezw. podtwa  
wniosków deputacji.

Do tak niespodziewanym wypadku, nie  
mogła deputacja - jakkolwiek mianem dat je-  
był już skończony - nie maradzić się jeszcze,  
jak jej o Torkowie mają postępować dalej.  
I zebrałiśmy się niebawem w naszym piątku.  
Płanowski, Putaski i ja byliśmy zdania,  
że z tak chwijnem zgromadzeniem niepro-

dobna pożytecznie dla sprawy narodowej działać. Tak i z niem i z jego Komitetem trzeba na drodze politycznej rozbrat zrobić. Czyński i Januszewicz, którzy się później dali poznać w emigracji tylko ze swych różnych spekulacji, byli przeciwnego zdania, i dalej z nami na drodze politycznej współdziałać nie chcieli. My więc trzej, porozumiewamy się z dwoma członkami Komitetu: Adamem Gieraszkim i Józefem Krępowieckim, postanowiliśmy do ogólnego zgromadzenia zanieść wniosek o jego, jako też Komitetu rozwiązanie, z oświadczeniem zarazem, że jakkolwiekby ono zadecydowało, my się od niego oddalimy, postanowimy na innej drodze dla dobra sprawy publicznej działać. Łęczyński przedjął się taki wniosek wygłaszać, a że mogliśmy być pewni, iż odrzucony zostanie, zgodziliśmy od razu i jednomyślnie na utworzenie towarzystwa pod nazwą Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, i równocześnie na



radzaliśmy się nad zredagowaniem aktu  
założenia i ustaw onego.

Jak przewidziewaliśmy, wniosek o rozwią-  
zanie zgromadzenia ogólnego i jego reprezentacji  
Komitetu, przez Stuxańskiego zredagowany i pod-  
pisany przez nas, wszystkich pięciu, przedsta-  
wy ~~nie~~ został d. 16 Marca, i przez nie odrzuco-  
ny. Nie było go na vet podrozważy, i tylko  
go odczytano; natomiast nie przekazano nam  
wyrażeń za takie nasze zachwalstwo. Zebra-  
niamy, opuściliśmy to sławne zgromadzenie przy-  
bliżyj Jawnie, i na wczoraj, 17 Marca, mając  
już wszystko przygotowane, złożyliśmy  
w pięciu (Stuxański, Putowski, ja, Gurowski i  
Krepiowiecki) Towarzystwo Demokratyczne  
Łódzkie. Za nami było to było charakteru zgroma-  
dzenia ogólnego, dnia poprzedniego, siedmna-  
stu, i tych <sup>zakończonych wczoraj, 18 Marca</sup> pierwszych naszych posiedzenia,  
na co członkowie Towarzystwa przyszedliśmy. Tym spo-  
sobem, w liczbie dwadzieścia dwóch, podpisaliśmy akt  
założenia, który także pierwszym manifestem Tow.

Specimen vane laus: et si  
vane non est dicitur laus: et si

stabilem persequitur  
pari. tale de se non est sine

Ten akt wypowiedział Imię i otwarcie nasze po-  
jęcia o sprawie narodowej — w stosunku do ogólnej  
sprawy wolności ludów — jakimi już i w kraju,  
podczas powstania ożywieni byliśmy. Ogłoszy-  
liśmy go niebawem po polsku i po francusku, w o-  
sobnej broszurze, wraz z ustawami i wnioskiem  
do zgromadzenia narodowego Polaków w Paryżu.  
Choć ten <sup>akt</sup> mialeśmy zrozumieć i bezstronnie ocenić,  
trzeba się przenieść myśla, w owe czasy i  
wiedzieć, że był akt dany pod wpływem ne-  
wewnętrznych okoliczności; Polska srogie  
przygniecioną jarzmem, nie mogła zaraz  
na nowo krywać się do broni, Francya zaś,  
a z nią, Srodkowa i południowa część Eu-  
ropy — Niemcy i Włochy — gotowały się w ów-  
czas do powszechnego, rewolucyjnego ruchu  
którego ogniskiem był Paryż. Wewnątrz  
rozterki domowe — pisał wówczas Karłowicz  
Mochnicki (Do rodaków bawiających w Paryżu) —  
zewnątrz wojna ledwo nie powszechna gro-  
zą, protektemu aktowi oświeceniowych lu-

dów, konstytucyj, ich rządów i zasadom ich  
praktyki. Z przyczyna, wiadoma, może się  
wzysztko odmienić. Czyż nam nie należy  
przewidzieć najprzód tych zdarzeń, i za-  
wczas myśleć: jaką z nich korzyść odnieść  
zdołamy w sprawie naszej Ojczyzny?

Otoż my takie zdarzenia, o jakich mówił M. Mochna-  
cki, przewidywali, czyli przypuszczali. Przypuszcza-  
jąc je zaś, jako wówczas bardzo prawdopodobne, nie  
chcieliśmy też pozostać zupełnie bezczynnymi. Le-  
cz coś lepszego mogliśmy uczynić wobec gotują-  
cego się ruchu rewolucyjnego, w oświecenijszej  
części Europy, który, według wszelkich powłak,  
gdyby był nastąpił, miałby być charakter  
demokratyczno-republikański — coś lepszego,  
postanowił, mogliśmy uczynić, jeżeli nie tańczyć  
i rozjarzyć naszej sprawy narodowej z sprawą  
ogólną wolności ludów, wystawiając jej wa-  
żność zarówno pod względem ekonomicznym jak  
politycznym. Udożywając się do przodków  
w oświacie, na Zachodzie i Południu Europy,



do myślicieli politycznych i społecznych, do pu-  
blicystów, i wskazując im, że Europa, w interesie  
postępującej oświaty i ludzkości, ma obowiązek  
wyswodzić Polskę z pod potrzebego obcego jarzma,  
wskazaliśmy zarazem zjarzmionym na ziemi ój-  
czystój rodakom konieczną potrzebę zrobienia roz-  
bratu z temi wyobrażeniami i przesądami, któ-  
re Polskę w niemocy trzymały, do upadku przy-  
wiodły i z upadku podnieść jej się nie dozwoliły.  
Powiedzieliśmy między innemi:

"Gdy ludzie na polskiej mieszkającej ziemi  
bez względu na ród lub wyznanie, szukają swej  
godności, swoje istnienie, swój tak materialny  
jakką moralny interes, i użycia praw dla ogo-  
ta, zniszczenia szczególnych przywilejów  
dopominać się będą, w ten czas w imię tego  
powszechnego dobra, śmiało od Europy, od oświaty,  
pomocy żądać będą mogli. Tak więc powoła-  
niem Polski wobec Europy, wobec ludzkości, je-  
st wywołanie tego potężnego wsparcia, ale wy-  
wołanie go w imię i na korzyść potrzeb

większości, której ogólny interes może jedynie  
usłuchać sprawa Polski. To jest tylko sposo-  
bem, imoże Polska śmiało do Europy prze-  
mawiać, i na tej jedynie zasadzie, gdyby ja-  
co nieproba — opuściła, też Europę wyprant-  
oświełości obarczyć miataby prawo.".....

"Lud polski wolny, swobodny, ale lud cały potrafi  
i Rosyan kształcić dążeniem towarzyskiego życia; bo  
jedynym powołaniem Polski, jedynym <sup>jej</sup> dla ludzkości o-  
bowiazkiem jest nieść w głąbie Wschodu prawdę i świat-  
łość i zrozumienie praw człowieka. Na tej zasa-  
dzie istnienie Polski jest potrzebą cywilizacji, szczę-  
ścia i pokoja Europy. Polska jest i będzie jej przed-  
murzem, zastoną, ale nie dlatego jedynie, aby strwa-  
wiała, nacisk barbarzyństwa odpiąć walkami,  
lecz aby sile jego umniejszyć dobroczynnym roz-  
przestrzenieniem równości towarzyskiej, równo-  
go i wolnego wniawiania swobód życia; jedném  
stowem, aby wydxierając ciemności niewolni-  
ków, zamieniając ich w ludzi, wytrącić prowole-  
broni, jaką dotąd despotyzm zagrozić jeszcze

ludzkoci. Lece - powtarzamy jeszcze raz -  
aby Polska temu powołaniu godnie odpowiedzieć  
mogła, istnieć musi wolna i niepodległa;  
musi sama używać dobrodziejstw, do jakich  
należąca drugimi jest powołana."

Tęm pięciomuszym wystąpieniem i takim wypowie-  
dzeniem naszych zasad, naszych wyrozumowanych  
zapatrzywań na sprawę narodową, wypowiadaliśmy  
na siebie ze wszystkich stron gniew i oburzenie, pomiędzy  
rodakami. Datemy już <sup>to</sup> pociąg w broszurce: "O po-  
czątku demokracji polskiej", oraz w "Wzmagach  
przez Centralizacyję przy dyskusyi nad manifestem  
Towarzystwa z r. 1836". Rozpisywałem się też tu o tem  
i nie mogę i nie chcę. Nie mogę tu jednak prze-  
mówić, że ci mniej więcej szanowni, z mniej  
więcej myślowej przeciwnicy czy nieprzyjaciele  
nasi nie rozumieli <sup>się</sup> trącać w żadne rozumowanie  
i zbijać naszych zapatrzywań, jakichś argumen-  
tami. Im doszyc było dać demotratom jakąś ubli-  
żającą i obelżywą nazwę. Pomimo, że Towarzystwo  
swoje protestacyę, <sup>zora</sup> z d. 8 Maja, przeciw traktatom

od r. 1772 Polska rozszerzającym, stwierdziło, na-  
nowo i jak najdosadniej, swoje patriotyczne prze-  
konania, inniej więcej uprawnieni dzierżyciele  
władzy w powstaniu i potakujący im ich ustau-  
żni zwolennicy, odmawiali demokratom patri-  
otyzmu i zgoda szlachetnych rycerzy. Pomiędzy  
tymi ostatnimi, odznaczał się najprzód i do śmierci  
(20 Grud. 1834r.) Maurycy Mochnacki, ten sam Mochnacki,  
co, niedawno przedtem tak samo jak my zapatry-  
wał się na współczesny stan rzeczy w Europie, i  
z przewidywanych zdarzeń, gdyby się zjawiły, ro-  
dził emigracyi Korzystac — ten sam Mochnacki, —  
głowa, niepospolita, ale nieposmierście ambitna  
i dlatego w wielu razach przewrotna — podbr-  
wał najprzód tego mógł przeciwstawiać  
w Paryżu, potem, dla zabicia mienia i spła-  
calizowania demokratycznej propagandy, naj-  
większe z talentem prawdziwego sofisty i tuczn. Bru-  
szarz: "O towarzyszkowie wzajemnej pomocy", której  
ówczesny przyjaciel jego Alexander Jętowicki  
pod swoim imieniem w r. 1833 drukiem ogłosił.

[illegible]



nareszcie w r. 1834, po uroczystem "B'nai adzezin"  
blisko 3,000 emigrantów przenieśli działalność Ks.  
Okręgowego na składy Ogółu Emigracyi, ten  
sam Mochaczki, w okolicach pisanych  
przez niego z Auxerre (Jonne) - jakoby, w imie-  
niu tamtejszego Zakładu i usiłował udzielić  
członków Towarzystwa Demokratycznego za-  
agentów rządu rosyjskiego, a Księcia Okrę-  
gowego ogłosił za jakoby jedynie nam po-  
zostały sztandar, około którego miało się do-  
łka gromadzić i pod jego naczelnictwem  
podnieść insurekcję!..

Akt założenia Tow., czyli piémowcy jego manifest,  
naznający Polskę, na wojnę i z wojną, cywilizacy-  
ję postępową, uszlachetniający jej sprawę w oczach  
przychylników ludzkości, i rozpalający ją, z cywilizacy-  
ją Zachodu, był zbiorowem, wyściznem dziełem nas pię-  
ciu założycieli, lubo podpisany został wraz z nami,  
także przez siedmnicę, którzy się zaraz, przy opie-  
szeniu przez nas zgromadzenia naradowego, do  
nas przyłączyli. Nam przystąpiłszy do podpisu

nieci onego, wypadło nam, raz na zawsze, ustanowić  
porządek, w jakim mieliśmy kłaść nasze podpisy  
na wszystkich zbiorowych aktach. Zgodziliśmy się  
jednomyślnie, aby to los rozstrzygnął. Gdy zaś przy-  
szło do losowania, ja wyciągnąłem P. numer, 22 Gurov-  
ski, 3ci Krupowicki, 44 Putski, a 54 Putzanski, (ten  
ostatni został wybrany sekretarzem). W tym też po-  
rządku podpisaliśmy protestację przeciw traktatowi  
Tolské rozszerzającym, odezwę do obywateli  
zobowiązującą i inne jeszcze akta zbiorowe, drukiem nie  
ogłoszone, dopóki się grono nasze w Łaryż nie roze-  
przeje i dopiero przy miem był główny Ricerunek. W tym  
czasie porządku zaciągający zostaliśmy do Ogólnej  
Kontroli, w której potem zapisywani byli kolejno  
wszystcy członkowie, jak byli przyjmowani.

W tém miejscu, zdaje mi się, wypadła mi poro-  
dzieć tylko o każdym ze czterech moich wybró-  
żonych i scharakteryzowani go cokolwiek:  
Lubo żaden z nich nie wytrwał w przesłubianych  
raz zasadach, mianem jednak zgóry, zgodnie z prawdą  
miedziennic, że jak przy założeniu Towarzystwa i po-

zniej, przez parę miesięcy, pramowało między na-  
mi pięcioma zupełna harmonia, i wówczas mo-  
gło się stosować do nas zdanie mówcy i filozofa  
rzymskiego: Idem uelle atque idem nolle, hoc de  
mum firma amicitia appellatur.

Niestety! młodo jest przykładu, aby w stosowa-  
niach, czy politycznych, czy jakichkolwiek innych,  
nie wyrodziły się, później lub rychlej, jakieś niedog-  
oci, jakieś zawisłości i drobne ambicynyki, a z tych, w pro-  
stym następstwie, swary i niesnaski. Tak się stało  
i w Tow. dem. polskiem, zaraza, w jego początkach.  
Owa harmonia, owa przyjaźń wzajemna, o któ-  
rej wspominałem, i która, jako wynikła z doświ-  
mości przejść i uczyć polityczno-społecznych — zdawa-  
ła się być trwałą, nie trwała dłużej nad dwa mie-  
siące.

D. 8 maja uchwaliła Tow. protestację przeciw  
wszystkiemu traktatowi od r. 1772 Polskę rozdzierają-  
cym, i wysłała z nią Gurovskiego do Londynu, al-  
bo raczej powierzyło mu ją tylko ogłoszenia  
w trombejznych dziennikach, bo on tam jechał swo-

(X) Gurowski i w swoim familijnym interesie. Gurowski miał <sup>od Towarzystwa</sup> zupełne pełnomocnictwo do wystąpienia w jego imieniu imienia, jeżeliby się tego okazała potrzeba — i tylko, dopiero po powrocie, miał mu zdawać ze swoich czynności sprawę. W końcu tegoż, miesiąca Maja, miał się odbyć — jakoż i odbył się, ale bez skutku — wielki zjazd patriotów tj. rewolucjonistów niemieckich w Hambach, w Śawaryi Nadreńskiej, czyli w tak zwanym Pałacyku. Na ten zjazd przywiali Niemcy oficerów polskich, i mieli rozpocząć rewolucję, udzieleniem na zwierzchność fortce, w Moguncyi i wzięciem onęj. Na ten zjazd, na który Komitet Narodowy Selewela i Komitet francusko-polski Safajeta wysyłały wspólnie Jana Cuińskiego, i pułkownika inżynierji Kozłowski wyjeżdżał, chciał Krzyszewicki być w wyznaczonym od Towarzystwa i otrzymać takie samo pełnomocnictwo, jakie było udzielone Gurowskiemu do Londynu. Towarzystwo przychyliło się tylko, w chwili do jego godania: upoważniło go do wyjazdu i

(X) Gurowski ogłosił przekazy Towarzystwa o Morming Starach, bawiarz w polskość i nie-  
pozwiedziat mu: Władz Anglii nie myślał, wcale o przyznaniu ceni w Polce w pałacu obywateli w granicach ty  
miedzy Anglią i Francją i do tego: Władz Anglii nie myślał, wcale o przyznaniu ceni w Polce w pałacu obywateli w granicach ty  
pamiętając, że Anglii nie myślał, wcale o przyznaniu ceni w Polce w pałacu obywateli w granicach ty  
miedzy Anglią i Francją i do tego: Władz Anglii nie myślał, wcale o przyznaniu ceni w Polce w pałacu obywateli w granicach ty



do wniesienia w stosunki z mającymi się zebrać na  
tym zjeździe państwami niemieckim — tak  
sympatycznie dla sprawy polskiej, rozporobionym,  
ale orax z obuwia, zato go do zdawania, co tydzień,  
ze swych czynności naporta sekretarzowi Sta-  
rżyskiemu. Jd. Krępowieckiego nie zadowolilo, wy-  
jechał też z kwadrans, miną. Miał on zbyt wielkie roz-  
umienie o sobie, mianowicie pod względem znajomości  
sztuki wojkowej, której nie mógł nabyć w krótkiej  
swej służbie podczas powstania. Z guwern<sup>er</sup>ki dzieci pro-  
stawnej pamięci generale J. Henryku Dąbrowskim  
— syna Bronisława i córki Bogusławy — został on był,  
w Korpusie Dzierżickiego, pprowaczem artyl-  
eryi i ozdobiłszy krzyżem Virtuti militari; ale to  
mogło dowodzić tylko jego męstwa, nie zaś w g-  
ręego uzdolnienia oficerskiego, w szczególności  
jak artylerya. Nie mogło zdolności jego wojko-  
wych dowodzić i to, że, będąc adjutantem Krępo-  
wieckiego, został pod Wola, nieco ranny w głowę,  
w czasie szturmie Moskale na Warszawę. Ist-  
otną wyższość nad wielu czapkami Towarzystwa

w tém, że umiał, nie źle po francusku, a oni albo ma-  
ło co, albo wcale nie; że znał Woltera i Russa, a  
oraż występował się, łatwiej od wielu innych, i mó-  
wił zawsze z deklamacją, co u wielu uchodziło  
za istotny dar wymowy. Zgoła, porozumiał się  
Krepuwiecki, nie widział potrzeby zdawać, co  
tydzień raportu sekretarzowi Ptuzińskiemu,  
jako go do tego Tow. wypisze nie zobowiązało.  
Ponieważ, że w Hambach do niego nie przyszedł  
on do Paragwa, przez parę miesięcy, nie wrócił,  
i napisywane do niego, regularnie co tydzień,  
listy miłoseniem Ptuzińskiemu odpowie dał.  
Nareszcie, gdy Ptuziński mocno na niego na-  
pisał, i wystawiający mu całą nieprzychylność  
tak nieswornego postępowania, pogroził mu  
wykreśleniem, odpisał, że on nie Aba o Tow. i  
sam sobie za Tow. obstar. Taką odpowiedź burzy-  
ła niezmiernie wszystkich członków, i niektórzy  
chcieli go natychmiast z Tow. wykreślić. Ale na-  
mój i Ptuzińskiego przełożenia, wstrzymało się  
od tego. Gdy powrócił, tłumaczył się, że długo był chory,

i dlatego "Mazowieckiemu" nie odpisywał, a kiedy go  
tenże do odpisania zmusił, jeszcze schorzanym i w łóżku,  
a tym samym w złym humorze, wziął pióro do  
ręki, i dał mu taką odpowiedź, jakiejby mu był  
nie dał, gdyby był zdrowym. Po przestano natem  
Homonaczeniu się jego, i odjazd był na gorzódka do  
miesiąca Listopada. W tym miesiącu miał się od-  
być - jak się, w samej rzeczy i odbył - obchód dra-  
giej urocznicy 29<sup>go</sup> pod prezydencją generała Le-  
fajeta. Jow<sup>o</sup> postanowiło nie brać udziału w tym  
obchodzie tj. nie wysyłać nań ze swej strony żadnego  
członka jako mówcy; wszyscy tylko jako słucha-  
cze przyrzekli być u nim. Sam jeden Krępowie-  
cki, nieobecny natem posiedzeniu, był innego zda-  
nia, i bez narzęj wiedzy, napisał sobie mowę, którą  
mię znajomy Francuz poprawił. Tę mowę przy-  
miał nam 27 czy 28 Listopada, i chciał nam ją prze-  
czytać, aby z nią na obchodzie mógł wzmienić Jow<sup>o</sup>  
wystąpić. My nie chcieliśmy nawet słuchać czytania  
tej jego mowy, i odpowiedzieliśmy mu, że mu jej odczy-  
tać na obchodzie wzbronić nie możemy, ale mu za-

braniamy, występować w imieniu Tow. On przeczł  
i tak postanowił postawić na swoim, i wydał na o-  
wat tę <sup>w swoim imieniu</sup> nową ~~rozporządzenie~~ obchodzie, o byłym w je-  
dnej z dwunastu sal opactwa St. Germain des prės Ja-  
na Kazimierza, z wielkim nieuk interwaniem pre-  
zydującego gen. Łafajeta i asystujących mu generała  
Dwernickiego i wojewody Antoniego Ostrowskiego,  
jako też licznego zgromadzenia Polaków i Francuzów.  
Nową tę, w której przyprowadził szlachetną polską, do  
płanтацию trzciny cukrowej w Ameryce, a tudzież  
skłócić, mieszaną przez nie, do negrów, wydrukował  
potem w dzienniku La Tribune, wydawanym  
przez Armando Harast, i ządał od nas, abyśmy ja  
w tłańczeniu polskiem, ogłosili w broszurce, któ-  
rą Tow. wkrótce wydać miało. Odmówiliśmy mu  
tego, rzecz prosta, nie zważając na jego wyru-  
czenie nam braku solidarności, która, sam kierwał.  
Aby się zemścić, chciał wywołać seysję w Tow. pod-  
burzając przeciw nam osłonek w Paryżu, a sze-  
gólniej już i na prowincyi będących. W Paryżu  
namówił młodziutkiego wówczas Stanisława B.



pelewskiego — późniejszego autora Słownika  
polsko-francuskiego — który jeszcze żadnej opinii  
ustalonej nie miał, aby wszedł do Towarzystwa i protém  
zaraz wkrótce wykreślił się z niego. Ten młodzień-  
szek dał się użyć za narzędzie, i tak zrobił. Jakoż,  
w kilka czy kilkanaście dni, po przysięcin go na cze-  
łku ogłosił swoje wystąpienie z "Towarzystwa demokra-  
tycznego polsko-praryskiego", w jednym z pierwszych  
numerów Dziennika Polskiego (w małej informacie),  
który wówczas zaciągał, wydawał Eustachy Ju-  
nuszkiewicz. Nazwanie Towarzystwa "polsko-praryskim"  
miało znaczyć, jakoby już inne istniało war-  
stwo demokratyczne istniało między Polakami na  
provincyi. Tak nieuczciwe, antydemokratyczne  
postępowanie Krępowieckiego nie mogło być  
dlań cierpieniem. Do wykluczenia go jednak z Towar-  
zystwa nie zaraz przyszło. Dopiero 16 Stycznia 1833 r.  
Artur Zawisza, propartyzynarz, podał go  
wykreślenia, i wykreślony został. Zawisza  
wniósł do protokołu rozprawiających Towar-  
zystwa "Szymon Krępowiecki, Judeusz" —

przez matkę do wielkości pochany..." Trzeba  
bowiem wiedzieć, że Krępowiecki miał na imię  
Szymon, i tak się tyko przed przemianą Listy  
prawdopodobnie nazywał; w przemianie zaś, zapewne,  
dlatego nazwał się Tadeuszem, że się Krusicki tak  
nazwał.

Gdybym się chciał nieco bliżej, jak dotąd, zatrzymać nad Symonem czy Tadeuszem Krępowidling, gdybym chciał opowiadać, z jakich on powodów wrócił z Putzkiem i Stanisławem Wordem, wydalony został z Taryjii do Belgii, a stamtąd, po niżej-  
kain czasie, znowu do Anglii, nie starczyłoby mi <sup>nato</sup> papieru, aby tu zeszycie. Do sąj, kiedy powiem:  
że, po przybyciu do Anglii, szedł się, wiać do  
miasta portowego Portsmouth, gdzie już b. było  
czna sekcyja Tow. Dem. pol. ze stu paraseto człon-  
ków - samych żołnierzy - szozona;

że osiadłszy tam z Wordem i Putashim, jest  
się ogłaszać tym przeciwncom komunizm, biorąc  
za podstawę <sup>tej</sup> niby niezłuszczonej społecznej doktry-  
ny, dźwięk: "Système de l'égalté" sławnego z pień-

wskęj rewolucyi francuskiej anarchisty Babeuf'a;  
że mu się udało całą tę sekcyę skłonić do oder-  
wania się od Tow. Dem. i do przybrania nazwy  
"Ludu Polskiego" (Gromady Grudniędz i Humnie);

że potem, przez długie czas, w imieniu tego "Ludu pol-  
skiego" wydawał obelżywe do Tow. i o Tow. odezwy  
- wraz ze St. Wroclm, S. Wroclm, Dzi. wiekiem i t. p.  
Wątróbka - za to, iż odrzuciło i potępilo naukę ko-  
munizmu, która nb. miała wóczas głosnych  
prostotów: Cabet'a, we Francyi, a Owen'a, w Anglii;

że nareszcie opuszczony, wraz ze swymi socyjal-  
przez ten swój "Lud Polski", osiadł w Londynie, i w  
trzechwioszy się z bałwanem tej doktryny, przyje-  
ty został najprawd do Tow. w r. 1846, i za własne  
żądanie i po złożeniu słownej deklaracyi, i umi-  
w tym mieście w następnym, czy jeszcze w tym samym roku.

Szybka, niewczesna i niechęć nieujawie-  
dliwca, żądza znaczenia spowodowała na ki-  
nawie lat Kręgowieckiego z drogi prakty-  
cznych reform społecznych, jako Tow. Dem.  
i jej uwolnienia z pod obcego ucisku. Pol...

otwieralo. Tawóczas jednak nie można mu było  
patriotyzmowi odmówić; i wówczas z pierwszą  
<sup>ochotą</sup>  
(jako najlepszą) stał się sprawie niepodległości.  
Dziękujemy, nie odtraczając od niej sprawy ludu  
polskiego, że tylko raccyj pojmował przez te  
lat kilkanaście. —

O Gurowski, gdy bym mógł, rozpisalbym się obszernie; ale  
że nie mogę, dla najpowszechniejszych już niejednokrotnie przy  
czyn, więc powiem tylko to, co za nic bezdnie uważam.

Wierzę, że jako odstępny, jako zbiega z pod  
chorągwi narodowej bronić i umiścić nie mogę  
się. Nie ja to zapewne mógłbym się podjąć podobnej  
obrony; ja, który także — jak w swoim miejscu  
miejscem — mogłem do kraju wrócić bez obawy za ubi-  
rany łeb i jemu, a jednak jawieniem dobrorod-  
nie, wygnaniem, i postanowieniem w nim wytrwać  
usque ad finem. Nie mogę przecież przemilczeć  
okoliczności wygodzonych poniekąd Gurowskiego  
postępek. Że Gurowski przed 29 Listopada był  
głównym patriotą, a jak czynny brał udział w ów-  
czesnych związkach patriotycznych, pisał to M. Mosz-  
nowski.



Zotwierdziem kampanie w r. 1831 zaciągnął się do wojsk,  
mianowicie do 1<sup>go</sup> pułku strzelców pieszych, i musiał się  
odznaczyć przed Biedotką czy Grachowem, skoro otrzymał  
stopień oficerski i krzyż, wirtuti militari. Po bitwie Gro-  
chowskiej nie uciekł do Paryża — jak to po jego odstępstwie  
głoszono — ale tam wysłany został w jakiejś misji przez  
zastępcę ministra spraw zagranicznych Gustawa Ma-  
lachowskiego. To jest fakt, tylko faktem także jest, że  
Gustaw Machowski, jego nigdy współuczestnik  
w zwiazkach politycznych, obłudnie o nim nie  
dowiedział, bo jednocześnie napisał do m-  
szych niezdarnych agentów dypl. m. st. (gen. Kar. Kniaźewicza i Lud. hr. Platera), że Gen.  
żadnej misji nie ma. Po prostu chciano się go po-  
zbędzić z Warszawy i Króju. Minio to, Gierowski nie  
wrócił do Króju, bo <sup>nie</sup> chciał, aby powstanie przy na-  
danym mu przez sejm kierunku, mogło wyjść  
z wyjątku z zaprzeczenia z przemożną siłą. Do-  
czekawszy się w Paryżu przybycia do Francji li-  
cznej emigracji, brał czynny udział w jak widno  
z tego, co wyżej powiedziałem — we wszystkich posied.

nowych naradach zgromadzonych Polaków w stoli-  
cy Francji, a o podźwignieniu i doprowadzeniu do  
pomyślnego skutku sprowadz. narodowej nie zwątpi.  
Rychcie otoli zjiszczenie tych nadziei czynił kalendarz  
od przewrotu stanu rzeczy w Europie, od rewolucyi,  
która zdostała się nie uśmierzoną we Francji, a także  
w Niemczech i we Włoszech. W tem byliśmy z nim  
zgodni, my, cośmy z nim Tow. Dem. polskie katożyli  
bo każdy z nas interesował tak samo myślał, i omywoty-  
wania zaraz znowa <sup>jak niektórzy mawiali</sup> powstania. Myśl nie chciała  
1833, gdy <sup>in</sup> nasz Komitet Centralny w Paryżu reor-  
ganizował przez wyjazd wielu członków, w których b-  
liźnie byłem i ja, a szczególnie przez wyjazd Tho-  
maszkiego, który, jako sekretarz był jego duszą, z dru-  
giej zaś strony przez napływ do Paryża nowych  
członków ze sprzecznymi zdaniami, Gerouski,  
wierny zasadom w oświecenia Tow. ogłoszo-  
nym, za czas wydawał pismo czasowe: "Progrès",  
ale go wydał tylko jeden zeszyt. Dopiero, gdy przed-  
konec 1834m. wraz ze Siednieniem wolał się drukiem  
we Francji, jak poprzednio w Niemczech, znikła.

(X) O tym jej wpływie i doboru carskiego wprawa Niemcewicz, nie pomarzył tylko  
w książkach ze swoich przyjaciół.

nadzieja rychłej rewolucyi na Zachodzie i Południu  
Europy; gdy w tym samym czasie umarła matka  
ziona, zostawiając bez opieki dwoje małych dzieci, z  
urodzoną jego siostrą — za jej śmiercią i wy  
wankiem w Petersburgu, nazwiskiem Frederiks — z po  
du tego jego owdowienia, na jej go doposażenie do  
Arzyja, dopięro na jej nalegania dał się Gurański  
nakłonić do podania się do amnestyi, która też po  
dobno na jej <sup>głównie</sup> przykazania, strasząc, bo miała, mieć  
wielki wpływ u dworu carskiego. Wrócił jednak do  
Wroclawy do Arzyja sam nie starał się o współnic  
w tej swojej apostazji politycznej, jak to robili  
książę Swiatopłuk Mirski, Wroclaw hrabi i  
inni. Wydał tylko broszurę pod tytułem:  
"La vérité sur la Russie", której żaden Polak nie mógł  
wystać bez oświadczenia. Że on nie mógł  
nie modrzy, to carskie jak proste, żadnym szczegó  
łom cynicz. przyoty. innym nieod. nażony emigrat  
nie miał dać, jakaj. rzykojmię carskiemu rządowi  
jej na przyznanie wierności, to zaiste pojąć Tatso.  
Ale on zaprawił rzecz swoją cynizmem i stał wiara. Sta



wiara, bo cały naród polski — przeciw własnemu, jak my-  
śle, przekonaniu — nazwał trupem, gdy wgrudy pod  
politycznym względem, tak nazypwał tylko stan szla-  
checki, który niepodległości kraju nie mógł ani utrzy-  
mać, ani utraconej sam jeden odzyskać.

Dalsze losy Gurowskiego w caracie nie są mi wiadome.  
Mówiono, że był najprzód wyższym czynownikiem przy  
gubernatorze w jednej ze środkowych gubernij, a potem ga-  
bernatozem cywilnym w Rydze. Mówiono także, iż w r.  
1848 czy 1849 przyjechał czterokonnym powozem do Szczy-  
giorna pod Kaliszem, i zostawiwszy tam powóz wraz  
z koniami i służącym, przeszedł sam pieszo granicę pruską.  
Wiem zaś z pewnością, od młodych emigrantów polskich,  
przebywających 1849 r. w Szwajcaryi, że on tam już był,  
i niektórym biedakom obiady krapował, przejeżdża-  
jąc, że im większych usług świadczyć nie jest w stanie. Po-  
tém przeniósł się do Ameryki, do Stanów Zjednoczo-  
nych, i miał posadę rządową w Waszyngtonie, podob-  
nie w Björze pomiarów brzegów morskich. Kiedy,  
po wydaniu w r. 1862, broszury: „O pożątku demokracji  
polskiej”, posłałem mu jeden exemplarz za pośrednictwem  
Henryka Kałusowskiego, podziękował mi za niego li-  
stownie, mówiąc wyraźnie, że mi dobrze zrobił, pomimo  
że go nazwał odstępca. Wówczas nie miał on już po-



1) Jan Kazimierz Ordyniec wyjechał przed powstaniem czesopolskim; Dziennik Warszawski  
ten sam, o którym wspominał agenda: "Ody nieci Ordyniec, a Dydyntański, ustanowienie w ordyn-  
acie, straża, w ogrodzie, etc." - "Dziennik na imię chętnie miał zafascynować tylko Aleksandra, któryś w nowym

sady rządowej, że był tak biedny że nie miał 80 centymów  
(21 złp) potrzebna na opłacenie listu, i za to, mnie przepra-  
szał. (Lito ten jest pomiędzy moimi papierami, w Bibliotece  
Uniwersytetu). Wskazywał również uśmiały, jak donosiły  
dzienniki, a między innymi; Dziennik Towarzystwa

Pozostaje mi tu również jeszcze o Pułaskim i Piłsudskim, jako  
o współwzrostach i oświeceniu Towarzystwa; ale tym wypowiedzią  
już ostateczne me zdanie z początku tych Notatek, więc tylko o  
tamtych powiem kilka słów o ile na to papieru tu starczy.

Ks. Pułaski był, przed powstaniem, głośnym profesorem języ-  
ka i literatury polskiej w szkołach swego Zgromadzenia, a oraz  
głośnym Kaznodzieją w Warszawie. Podczas powstania,  
był kapłanem w konwencie Gwernickiego; miewał patry-  
tyczne mowy do wojska, z których niektóre, wraz z jego do-  
mnie listami, ogłoszono w Gazecie Polskiej. Później był naj-  
czynniejszym z wice-prezesów Towarzystwa Patriotycznego. W Pa-  
ryżu, w parę miesięcy po założeniu Towarzystwa, przyzwyczajony  
miewał w szkołach faworytów pomiędzy uczniami, <sup>chciał i w Towarzystwie</sup> stworzyć  
sobie powolną partycję. To nie mogło się utrzymać, i dawno powód  
przeciwnikom Towarzystwa do różnych szykan. W skutku tego musiał  
być z wykreślony, wraz z K. Ordyniecm, którymu w ten sposób  
niezgodności pomogła <sup>drobną</sup> jego byśa niewłaściwa  
jak Krzypowickiego; Gurowski <sup>nie miał</sup> w Anglii odstry-  
kował się wkrótce od Krzypowickiego, i umarł w Londynie 1838  
<sup>niezgodnym</sup>



Juvisy, 31 Października 1881 r.

Mian,

Może się jeszcze zdobyć na VI<sup>ty</sup> zeszyt tych Notatek, ale ich  
nie będę już spisywał w ten sam sposób, jak dotychczas.





